

AS
Nr. 28
LIPCA 1938 ROKU
ENA 40 GROSZY
=
RZĘSY
HARMING LADY
ANN SHERIDAN
29,39

NOWY KONKURS MAGAZYNU „AS"



JAK SPĘDZAM WAKACJE?

5 najoryginalniejszych zdjęć otrzyma cenne nagrody!

Ogłoszony przez nas w nr. 25 Magazynu „AS" z dnia 19 czerwca b. r. „Konkurs na najoryginalniejsze zdjęcie z wakacyj", wzbudził jak to przewidzieliśmy wielkie zainteresowanie wśród licznych rzesz naszych Czytelniczek i Czytelników. Dowodem tego są już licznie napływające zdjęcia z różnych okolic Polski, a nawet z zagranicy. Jedno z nich, pochodzące aż z Lugano, zamieszczamy obok. Dalsze fotografje, które zostaną zakwalifikowane przez jury redakcyjne, ukażą się w najbliższych numerach Magazynu „As". Aby uniknąć nieporozumień, podajemy raz jeszcze warunki Konkursu:

1) Fotografia winna być dokumentem chwil mile spędzonych podczas wywczasów letnich. 2) Techniczna strona zdjęcia musi przedstawiać się bez zarzutu, a ujęcie artystycznie. 3) Prawo uczestniczenia w Konkursie nabędzie każdy, kto wykaże się prenumeratą Magazynu „As" za okres przynajmniej jednego kwartału, licząc od dnia 25 czerwca b. r.



ZDJĘCIE NADESŁANE NA KONKURS:
„Na lugańskiem jeziorze".
Fot. Zygmunt Borzęcki — Lugano.

Nadsyłanie zdjęć miało trwać tylko do dnia 15 września b. r. Redakcja uwzględniając życzenie wielu Czytelników, którzy dopiero wczesną jesienią mogą wybrać się na wakacje, przesunęła ten termin na dzień 30 września b. r. Po tym dniu żadne więcej zdjęcie nie będzie dopuszczone do udziału w Konkursie. Ogłoszenie wyniku Konkursu nastąpi w okresie między 1 a 15 października b. r. Zdjęcia, które jury redakcyjne zakwalifikuje do publikacji, zostaną zamieszczone w Magazynie „As" bezpłatnie, w kolejności, w jakiej nadchodzić będą do Redakcji „Asa".

Autorzy pięciu najoryginalniejszych zdjęć otrzymają cenne nagrody. Kolejność ich zostanie podana w terminie późniejszym. W niniejszym komunikacie konkursowym wymieniamy narazie dwie nagrody, ofiarowane przez Firmę „Kodak", Warszawa 1, Plac Napoleona 5. Są niemi: Aparat Cine Kodak 8 Model 20 wartości 265 zł., oraz aparat Kodak Regent f. 4.5, wartości 240 zł.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). - TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA W CZECHOSŁOWACJI Kc. 2.50
CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor, prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 28 **Niedziela, 10 lipca 1938** **Rok IV**

ASY NUMERU 28-GO:



Fot. Sport General — Londyn.

Tegoroczny turniej tenisowy w Wimbledonie o nieoficjalne mistrzostwo świata w białym sporcie przyniósł walne zwycięstwo we wszystkich konkurencjach rakietom amerykańskim. Nasza mistrzyni Jadwiga Jędrzejowska doszła tylko do ćwierćfinału, w którym przegrała do Helen Jacobs, a ta zkolei oddała w finale mistrzostwo w ręce Helen Wills-Moody, ośmiokrotnej mistrzyni Wimbledonu. Na zdjęciu: Wills-Moody (na lewo) i doskonała tenisistka angielska Kay Stammers, która uległa Amerykance w rozgrywkach o mistrzostwo Londynu i w Wimbledonie.



PARADA RZEMIOSŁ

Wiek, w którym żyjemy, to okres niezwykle szybko rozwijającej się techniki i supremacji maszyny, wypierającej coraz wyraźniej pracę ludzką. Zwycięski pochód techniki stworzył nowe nieznane zupełnie dawniej gałęzie przemysłu, wzbogacił życie najuboższego nawet obywatela ziemi, czyniąc dla niego dostępnem to, co dawniej było udziałem tylko najmożniejszych.

Nieraz z prawdziwą przyjemnością bierzemy do ręki książkę, traktującą o czasach minionych, czyto będzie interesujący romans lub powieść historyczna, czy nawet jakieś dzieło poważniejsze i może z pewną zazdrością myślimy o tych spokojnych czasach, kiedy nie wiedziano, co to jest gorączkowe tempo życia, będące dzisiaj udziałem niemal nas wszystkich.

Wielki rozwój techniki przynosił ze sobą nie zawsze tylko rzeczy dobre. Maszyna zaczęła zabierać człowiekowi pracę. Niejednokrotnie ludzie, pozbawieni pracy przez wprowadzenie jakichś nowych maszyn, znajdowali zajęcie w nowej gałęzi przemysłu, stworzonej właśnie dzięki maszynom, coraz dalsze jednak udoskonalanie maszyny i powszechniejsze jej wprowadzanie we wszystkie niemal dziedziny życia doprowadziło wreszcie do tego, co dawniej przewidywali już niektórzy z pesymistów. Stworzona na usługi człowieka stawała się jego wrogiem.

Zjawisko to zaczęło występować szczególnie po wojnie światowej w nowym okresie silnego rozwoju techniki, a zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, gdzie technika zawsze przodowała krajom europejskim. Automatyzacja i racjonalizacja pracy zaczęła przybierać takie rozmiary, że usuwanie człowieka z procesu produkcji zaczynało stawać się zjawiskiem katastrofalnem. Niewątpliwie jedną z przyczyn powstającego bezrobocia w większości krajów było właśnie zwiększające się ulepszanie maszyn, które zastępowały pracę człowieka.

Miljonowe rzesze bezrobotnych zaczęły budzić grozę i coraz większy niepokój, a zwalczanie klęski bezrobocia stawało się najważniejszem zadaniem rządów niemal wszystkich państw. Różnemi drogami pracuje myśl ludzka, by ocalić świat przed tą straszliwą pod każdym względem klęską społeczną. Warto zaznaczyć, że obok dosyć powszechnie panującego przekonania, że jednym z warunków usunięcia kryzysu bezrobocia jest uwolnienie się od niewoli olbrzymów maszyn, z drugiej strony istnieje pogląd, że dalszy rozwój maszyny wcale nie zagraża człowiekowi. W Ameryce powstał nawet kierunek zwany technokracją, według którego dalszy rozwój maszyny wcale nie zagraża człowiekowi, lecz przeciwnie — powinniśmy dążyć nawet do dalszego rozwoju techniki i ulepszania maszyn. Maszyna powinna pracować za człowieka, którego czas pracy powinien równocześnie ulegać skracaniu. Należy tylko odpowiednio zreorganizować system pracy i ująć w pewne karby stosunek dynamiki rozwoju techniki do rzeczywistości produkcyjnej. Narazie jednak poglądy te mają raczej niezbyt wielu zwolenników, których uważa się za zbytnich optymistów, a ujęcie w jakieś formy wytwórczości maszynowej świata jest problemem niełatwym do rozwiązania i nieprędko zapewne ludzkość dojdzie do zrealizowania marzeń amerykańskich technokratów, którym nie wystarcza już 6-godzinny dzień pracy, lecz którzy sądzą, że przy odpowiedniem zreorganizowaniu systemu naszej pracy powinien wystarczyć 4-godzinny.

Przeciwnicy tych poglądów uważają, że jednym z warunków usunięcia kryzysu bezrobocia jest uwolnienie człowieka z pod przewagi i władzy maszyn-olbrzymów. Produkcję ich powinno obłożyć się tak wysokiemi podatkami, by nie opłacały się. Raczej powinno powrócić się do zorganizowania i popierania warsztatów drobnomaszynowych.

Nie było rzeczą przypadku, że międzynarodowy zjazd rzemiosła odbył się właśnie w Berlinie. Bo właśnie w Niemczech padło hasło, że pierwszem zadaniem państwa jest dać pracę wszystkim jego obywatelom.

Międzynarodowa Wystawa Rzemiosła, otwarta niedawno w Berlinie (a która ma się skończyć w połowie lipca), ma zwrócić uwagę wszystkich na znaczenie rzemiosła w różnorodnych dziedzinach życia. Zadaniem jej jest również danie zwiedzającemu obrazu powstania i rozwoju tej podstawowej dziedziny pracy ludzkiej, która i dzisiaj skupia wokoło siebie wielotysięczne grupy pracowników. Dalszem wreszcie zadaniem tej wystawy, jak i wielu międzynarodowych kongresów poszczególnych gałęzi rzemiosła, jakie odbywały się w ramach tej wystawy, jest stworzenie międzynarodowych podstaw organizacyjnych, któreby ułatwiły rzemiosłu wzniesienie się na wyższy poziom rozwoju.

Inicjatorem międzynarodowej wystawy w Berlinie był prezydent zjednoczonego rzemiosła Italji prof. Vincenzo Buronzo, który już od kilku lat pracował nad stworzeniem międzynarodowej organizacji rzemiosła. — W pierwszej międzynarodowej konferencji, jaka z jego inicjatywy odbyła się przed dwoma laty we Frankfurcie nad Menem, obok Niemiec, Włoch, Francji, Norwegji, Austrji, Jugosławji, Szwajcarji i Węgier wzięło udział przez swych przedstawicieli i rzemiosło polskie. Na powtórnej konferencji w Zurychu, w której wzięli udział przedstawiciele 13 państw, uchwalono tworzenie międzynarodowej centrali rzemiosła z siedzibą w Rzymie. Zadaniem tej organizacji, zwanej w skrócie CIA, było badanie stosunków i rozwoju rzemiosła we wszystkich dziedzinach oraz stosunku rzemiosła do innych czynni-



Na prawo w kole: Prof. Vincenzo Buronzo, prezydent międzynarodowej centrali rzemiosł w Rzymie, inicjator wystawy berlińskiej.

Poniżej: Fronton centralnego budynku międzynarodowej Wystawy rzemiosła w Berlinie.



ków gospodarczych, socjalnych i kulturalnych. Zasługą właśnie tej międzynarodowej organizacji było stworzenie obecnej wystawy w Berlinie.

Wystawa berlińska przedstawia się rzeczywiście imponująco, w czem niewątpliwie największą zasługę należy przypisać gospodarzom, którzy całą organizację postawili na bardzo wysokim poziomie. Godzinami całemi można zwiedzać liczne pawilony, oglądając z niesłabnącem zainteresowaniem coraz to nowe stoiska i eksponaty. Rzecz prosta, że zwiedzanie wystawy przynosi najwięcej pożytku samym rzemieślnikom, którzy zjeżdżają nietylko z całych Niemiec, lecz i z innych krajów, by skorzystać z tej pierwszej wyjątkowej sposobności. W dniu otwarcia wystawy przyjechał m. in. specjalny pociąg z Werony, który przywiózł 600 włoskich rzemieślników. Ponadto jednak wystawa cieszy się ogólnem zainteresowaniem, o czem świadczyć może stała duża frekwencja. Wystarczy powiedzieć, że w dniu otwarcia wystawy przewinęło się przez nią około 100.000, wyraźnie sto tysięcy osób.

Jedną z najciekawszych niewątpliwie hal na wystawie rzemieślniczej jest wielka hala, dająca przegląd historyczny rozwoju rzemiosła. Widzimy tu najstarsze zabytki archeologiczne, pochodzące z licznych muzeów z obszarów całych Niemiec. Obok wyrobów staroegipskich i babilońskich spotykamy się z wykopaliskami starogreckiemi i rzymskiemi, powszechną uwagę skupiają piękne wyroby chińskie i japońskie, zainteresowanie budzi historyczne rzemiosło Meksyku i Peru. Wiele ciekawych i planowo wybranych eksponatów pozwala zapoznać się z rzemiosłem średniowiecza, kiedy dochodzi ono do dużego znaczenia i rozwoju, by później znowu — właśnie z wkraczaniem maszyny — zejść na plan dalszy.

Był czas, kiedy jedynemi narzędziami człowieka były kamienie krzemienne, używane równie jako broń obronna i służąca do zdobywania pożywienia. Z czasem prymitywne wyroby krzemienne zostają wykonywane dokładniej i bardziej pomysłowo, prócz zwykłych niezgrabnych ostrzy pojawiają się noże, zaopatrzone w ząbki, igły do szycia, skrobacze i t. p. Dalszy postęp stanowi umiejętność szlifowania przedmiotów z krzemienia oraz wyrób przedmiotów z kości i rogu zwierząt. Niektóre narzędzia posiadają już wygodne trzonki do trzymania, znajdują się nawet przedmioty grawerowane. Nowym etapem w rozwoju pomysłowości człowieka jest wykonanie pierwszej siekiery i toporka, przy pomocy których człowiek mógł wygodniej obrabiać drzewo, potrzebne do wzniesienia domu.

Olbrzymim postępem naprzód było odkrycie metali i umiejętność ich topienia. Pierwsze wyroby metalowe wykonywano z miedzi czy nawet złota, później dopiero przyszła kolej na bardziej trwałe narzędzia z bronzu, będącego stopem miedzi i cyny. Wyrób przedmiotów metalowych, jakie obserwować można na 2000 lat przed naszą erą — to początek cywilizacji, który z odkryciem żelaza zbliżył dawniejszy okres prymitywu do rzemiosła naszych czasów.

Niezbyt wiele posiadamy dokładnych danych o stanie techniki w czasach starożytnych, z odkrywanych jednak wykopalisk i nielicznych zachowanych zapisków możemy wnosić, że niektóre jej działy stały na wysokim stopniu rozwoju, a wiele z gałęzi rzemiosła znajdowało się na bardzo wysokim poziomie zarówno pod względem technicznym jak i artystycznym.

Duże znaczenie posiadało rzemiosło w wiekach średnich, a obserwując zabytki rzemiosła z tych czasów, widzimy, że mistrz średniowieczny wkładał w swą pracę nie tylko doświadczenie i sumienność wykonania, lecz także zamiłowanie prawdziwego artysty. Każdy też niemal wyrób, to jakgdyby swoisty wytwór artystyczny, noszący indywidualne piętno wykonawcy.

Dopiero ze zjawieniem się maszyn rzemiosło zaczyna tracić na swem znaczeniu, a niejedna z jego gałęzi podupada. Nie zawsze jednak tak się dzieje. Czasem bowiem znowu pewne działy rzemiosła korzystają z pomocy maszyn, co pozwala wytwarzać nowy ulepszony rodzaj wyrobów, nieosiągalny dawniej, kiedy posługiwano się wyłącznie tylko pracą zręcznych rąk. A zawsze dzieło rękodzielnika w odróżnieniu od wyrobu maszynowego, wykonanego całkowicie przez maszynę, charakteryzuje pewna indywidualność wykonania. Każdy kraj, a często i okolica posiada pewną tradycję, którą mistrze rzemiosła starają się utrzymać, sam wreszcie wykonawca nadaje wyrabianemu przez siebie przedmiotowi w większym lub mniejszym stopniu indywidualną cechę.

Każde z państw, biorących udział w Mię-

(Dokończenie na str. 12-ej)



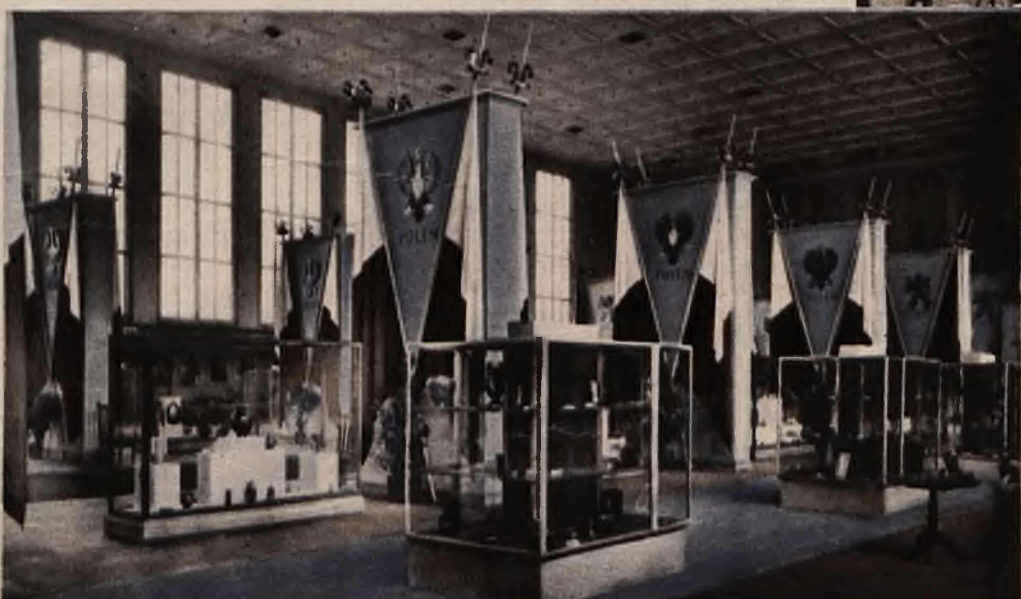
Na prawo: Dzban majolikowy (Stoisko jugosłowiańskie).



Ozdobą stoiska japońskiego jest fragment wnętrza warsztatu łuczniczego.



Stoisko greckie z oryginalnym warsztatem tkackim na pierwszym planie.



Na lewo: Ogólny widok stoiska polskiego na berlińskiej Wystawie rzemiosła.



Angielska taca kuta w złocie (Stoisko Wielkiej Brytanji).

LUDZIE BEZ NERWÓW



Oto, jak wygląda na filmie katastrofa samolotu, który opadł na wody Grenlandji.



Na prawo: A tu znowu widzimy samochód, spadający w przepaść, niżej zaś jego szczątki u podnóża skał.

Gdy u schyłku ub. wieku pojawiły się pierwsze kinematografy, w których na niepozornych ekranach wyświetlano ciemne i trzęsące się obrazy, niebrakło optymistów, prorokujących temu nowemu wynalazkowi jaknajświetniejszą przyszłość i epokowe znaczenie. Dziś przemysł filmowy stoi na niepośledniem miejscu, a jego produkty stały się niemal artykułem pierwszej potrzeby. Rozwój filmu nie mógł też pozostać bez wpływu na ukształtowanie się tych wszystkich licznych profesyj i zawodów, które stoją w kontakcie z wytwórczością filmową. Już w początkach swej ewolucji odciągnął srebrny ekran szerokie rzesze najlepszych artystów od pracy na deskach scenicznych. Film bowiem dawał im nowe i interesujące pole do popisu.

Niebawem jednak okazało się, że film stawia zupełnie odmienne wymagania. Powstało w związku z tem pojęcie fotogeniczności, decydujące niejednokrotnie o powodzeniu i popularności niejednego utalentowanego nawet artysty. Gruntowne zmodyfikowanie metod pracy i twórczości we wszytkich zawodach, będących na usługach X muzy, stało się poprostu koniecznością. Inżynier, malarz, plastyk, dekorator, kostjumer — wszycy oni musieli stosować się do nowych warunków pracy.

Z chwilą gdy „Wielki Niemowa" obdarzony został głosem, powstały nowe a ważne placówki, jak np. stanowisko „tonmixera", dbającego o dźwiękową i muzyczną stronę nagrywanych scen, albo „człowieka z klapsem", który dźwiękiem powstającym przy uderzeniu dwóch deszczułek zaznacza na dźwiękowej części taśmy filmowej początek i koniec nagrywanej sceny. Jest to bardzo ważne przy montowaniu całości filmu.

Nakręcane sceny są często niebezpieczne i ceniąca swe „wartościowe" życie gwiazda czy gwiazdor niezawsze podejmują się odtworzenia jakiegoś epizodu z katastrofą, skokiem ze spadochronem itp. Niebawem i z tą trudnością umiano sobie poradzić. Znaleźli się bowiem tacy, którzy za dużo mniejszym niż filmowy „star" wynagrodzeniem, narażają w podobnych scenach swe życie. Tak powstał słynny zawód "doubla".

Od początku rozwoju filmu największem powodzeniem u publiczności cieszą się mrożące krew w żyłach dramatyczne sceny wielkich katastrof, wykolejeń, kraks samolotowych, samochodowych itd. Tego rodzaju obrazy nakręcane dawniej przy pomocy rozmaitych tricków i małych modeli, przedstawiały dla widza minimalną wartość. Dziś, w dobie dźwiękowca, niewielu znalazłoby się zwolenników kina, którzyby nie odczuli sztuczności takich zdjęć. Zwłaszcza w filmie dźwiękowym tego rodzaju nienaturalności muszą każdego razić. Publiczność stała się wymagająca i odczuje natychmiast brak efektu zdjęć nakręcanych np. w tempie zwolnionem, a mających przy normalnej szybkości wyświetlania (24 obrazy na sekundę) dać wrażenie ogromnych prędkości, z jaką pędzi fotografowany samochód czy motocykl. Konkurujące między sobą wytwórnie filmowe przyczyniły się mimowoli do stworzenia nowej profesji ludzi, którzy igrając umyślnie ze śmiercią i narażając się nieraz na utratę życia lub ciężkie kalectwo, dostarczają stuprocentowo-prawdziwych i swą naturalnością grozę budzących scen. — Dziwny i niesamowity zawód! Ale czego nie robi się dla pieniędzy, zwłaszcza w Ameryce.

Niedawno temu poznałem jednego z nich. Przyjechał do Europy, by trochę odpocząć. Nazwisko: Tom Smith. Czy zna je kto z ekranu? Napewno nie! Na pierwszy rzut oka, sądząc z powierzchowności, przypuszczałem, że mam przed sobą artystę, który jest na najlepszej drodze do zdobycia sławy i popularności. W odpowiedzi na moje w tej kwestji pytanie uśmiechnął się: — Nie! — odparł — tego rodzaju karjera napewno mnie nie czeka. Coprawda grałem i gram w wielu filmach, ale zawsze anonimowo. Gra moja staje się często niebezpieczną rzeczywistością, o ile grą nazwać można umyślne rozbijanie samochodów, motocykli, czy samolotów.

Widząc me zdziwienie, ciągnął dalej: Przed kilkoma laty założyłem wraz z grupą mych przyjaciół najdziwniejsze może w świecie przedsiębiorstwo, trudniące się zawodowo dostarczaniem wszelkich możliwych, a niebezpiecznych scen dla wytwórni filmowych. Zależnie od żądania reżysera wsiadamy do samochodu czy samolotu i wjeżdżamy na drzewo, mur, lub coś podobnego, albo umyślnie powodujemy jakąś niezwykle groźnie wyglądającą katastrofę samolotową, wyskakujemy z płonącego samolotu ze spadochronem itd. Repertuar mamy bardzo urozmaicony i mogę poszczycić się, że dotychczas sprostaliśmy każdemu postawionemu nam zadaniu. Ryzykujemy przytem bardzo wiele i zachowanie zimnej krwi w tego rodzaju sytuacjach jest niebylejaką próbą nerwów. Jednak z czasem przyzwyczailiśmy się, a raczej nauczyliśmy się nie przejmować się grożącem niebezpieczeństwem. Stworzyliśmy naukowe niemal metody dokonywania tych wszystkich karkołomnych sztuczek, bez zbytniego narażania życia. Studjowałem setki najrozmaitszych katastrof i wypadków wszelkich możliwych środków lokomocyj i dziś, gdy reżyser zawezwie nasze przedsiębiorstwo do współpracy w zdjęciach, jesteśmy prawie że natychmiast gotowi.

— Jak wspomniałem, repertuar mamy ogromny — niemal nieograniczony. Najrozmaitsze wypadki, zderzenia motocykli, samochodów, przesiadanie się z samolotu na samolot czy samochód, lądowanie na najniebezpieczniejszych terenach wraz z rozbiciem czy spaleniem samolotu, odtwarzamy z należytą precyzją. Niewielu widzów, siedzących wygodnie podczas kinowego seansu, zdaje sobie sprawę, w jaki właściwie sposób nakręca się tego rodzaju emocjonujące sceny. Ogromna większość przekonana jest, że cała rzecz polega na zręcznych trickach przy użyciu lalek i modeli. Tak było dawniej! Dziś sprawy nie da się w ten spo-

Dokończenie na str. 12-tej.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Tak, jak w Brazylji pali się kawę wtedy, gdy zbiory wypadną zbyt obficie, tak też trudno ścierpieć obecny urodzaj na nowości w świecie znaczków. Ni mniej ni więcej, tylko 50 złotych i 70 groszy trzebaby było wydać na te nowości, które w ciągu ostatniego tygodnia oferował jeden z miejscowych kupców! Trudno też nam doprawdy wybrać to, co Czytelników najwięcej interesuje, bo zapewne jedni bardziej lubią Bułgarję, drudzy Jugosławję, a niestety zupełnie brak miejsca na blok łotewski i estoński, nie wspominając już nawet o Hiszpanji czy znaczkach poza-europejskich, które nie są zresztą tak popularne.

Jeśliby ktoś chciał wydawać po sto złotych miesięcznie, to i tak będzie bezsilnym, bo nigdy nie nadąży za tym wartkim prądem, niosącym coraz to piękniejsze zresztą egzemplarze. Zawsze też będzie się zapalony zbieracz łakomił na nowości, przewidując haussę na giełdzie filatelistycznej, zaniedbując stare wydania. Obok kilku reprodukowanych seryj, posiadamy już szereg dalszych w tece, które postaramy się opisać w najbliższym numerze.

Niemcy wydały bardzo ładną serję z widokami Wrocławia, gdzie w najbliższym czasie będą rozgrywane narodowe igrzyska „Wielkich Niemiec". Barwy znaczków są identyczne z obiegową serją, nadzwyczajnie precyzyjny druk (staloryt) zasługuje na uwagę.

Przepiękny jest egzemplarz Szwajcarji, który emitowano w dniu święta narodowego; wartoby zastanowić się nad tem, czy i Polska nie powinna wprowadzić już heliograwury, bo znaczek ten, to już prawdziwa fotografja z całą gamą odcieni, których nasz klasyczny staloryt nie potrafi tak plastycznie oddać. Wytwórni Courvoisier można złożyć w tem miejscu wyrazy najwyższego uznania.

Zapewne nie tak wiele osób nadaje w Watykanie listy pocztą lotniczą, aby uzasadniało to emisję całej serji z 8 sztuk, w której powtarzają się wszystkie motywy po dwa razy. Pod względem rysunku i wykonania są to jednak prześliczne minjaturki, bo format wynosi zaledwo 20×23 mm. Notujemy wartości za 25, 50, 75 i 80 c, oraz 1, 2, 5 i 10 lire.

Ktoby się spodziewał, że tak pożyteczne, lecz pospolite zwierzę, jak kura, będzie kiedyś służyć też jako motyw znaczka. W dalszym ciągu serji „gospodarczej" ukazał się właśnie w Bułgarji podobny egzemplarz, a na wartościach za 30 stotinek i 4 lewy widzimy ponadto kłosy zboża i grona winorośli. Każdy egzemplarz wydrukowano w dwu odcieniach — format 27×34 mm. Następca tronu — a przyszły car Symeon — ledwo wyszedł z pieluszek, a już został uwieczniony na całej serji z 5 sztuk. Czy nie wzbije to zbyt wcześnie w dumę tłuściutkiego bobaska? (barwy: 1 lewa zielony, 2 l. różowy, 4 l. pomarańczowy, 7 l. niebieski, 14 l. brązowy; format 27×23 mm).

W. H.



W górnym rzędzie: Najnowsze znaczki bułgarskie z portretem następcy tronu księcia Symeona, w drugim rzędzie najnowsze znaczki niemieckie, w trzecim rzędzie znaczki bułgarskie, w czwartym rzędzie w środku znaczek szwajcarski, po bokach lotnicze znaczki watykańskie.


SACHS

WANDA DE RICHE

Nr 7238

NOWELA

Zastanawiałem się nieraz, dlaczego obrazy pierwszorzędnych mistrzów pendzla nie wywołują nigdy uczucia grozy, jakkolwiek w wielu wypadkach przedstawiają sceny brutalne i krwiożercze. Sądzę, że powodem tego jest dokładna znajomość szczegółów, towarzyszących ich powstaniu... brak pewnych danych, które przemawiałyby do wyobraźni i kazały domyślać się pobudki do stworzenia dzieła tak niesamowitej i tak wstrząsającej do głębi, jak treść obrazu. Z drugiej strony, genezy najstraszliwszych opowieści, odnoszących się do portretów i obrazów, przedstawiających bliżej nieokreślone postaci, sceny trudne do wytłumaczenia, szukaćby należało nie w artystycznem ujęciu przedmiotu, ale raczej w dziwnem zestawieniu świateł i cieni, nienaturalnem uwydatnieniu tła i jaskrawych, a często mimowolnych kontrastach, które są cechą malarzy o niewyrobionej technice. W dziełach takich uderza czasem pewien szczegół, którego nie umiemy sobie wytłumaczyć i który dlatego budzi niepokój, a jeśli treść obrazu wydaje się nam niezrozumiała, jeśli nie odpowiada naszym wyobrażeniom, czujemy się uprawnieni do stawiania najfantastyczniejszych hipotez, których zadaniem jest rozwiązanie zagadki domniemanej, czy prawdziwej. Przodkowie nasi robili to już na setki lat przed nami i dlatego każdy kraj cywilizowany posiada nieprzebraną ilość legend i podań.

Powtarzam to przy każdej sposobności, ale w głębi duszy przyznaję, że teorja moja ma pewne luki. W każdym razie nie nadaje się do wyjaśnienia tajemnicy dziwnego obrazu, z którego dziejami zapoznałem się, pracując przed kilku laty nad moją rozprawą doktorską z dziedziny historji sztuki w jednem z muzeum krakowskich.

Nie mogę operować nazwiskami i datami, naraziłoby mnie to bowiem na zarzut niedyskrecji, ale wielu stałych mieszkańców Krakowa domyśli się zapewne prawdy, skoro podam opis obrazu. Tym, którzy na własne oczy oglądali go swego czasu powiem jednak, że Nr 7238 inwentarza zbiorów — gdyż taką liczbę nosiło wspomniane przeze mnie malowidło — w muzeum tem już nie istnieje... że przedmiot ten nie jest już publiczną własnością. Dla ludzi, którzy nie widzieli go nigdy, cyfra 7238 będzie pustym dźwiekiem. Prawdziwą wartość ma ona tylko dla mnie... wartość symbolu, którego znaczenia domyślić się mogłem dzięki szczęśliwemu zrządzeniu losu.

Na obraz, o którym mówię, nigdy nie zwracano szczególnej uwagi. Niepozorny prostokąt z płótna, oprawiony w dębowe, grube ramy, wisiał w kącie małej sali bocznej, która służyła też za pracownię artystom, korzystającym niejednokrotnie z bogatej kolekcji sztychów muzealnych. Przedstawiał on mroczny przedsionek kościoła, którego wrota były zamknięte i zaryglowane. Na kamiennej posadzce klęczał jakiś mężczyzna w stroju pokutnika, z nasuniętym na głowę kapturem, zwrócony twarzą do zamkniętych podwoi świątyni. Promienie słońca, wpadające przez małe okienko w głębi, zaledwie pozwalały rozróżnić kontury postaci, która zdawała się modlić żarliwie. Wykonanie obrazu było zupełnie przeciętne, rysunek niewyraźny, a barwy już spłowiałe.

Przyglądając się po raz pierwszy malowidłu, przyszedłem do przekonania, że twórca jego silił się na zestawienie cieni i świateł na wzór Rembrandta i mimowoli zapewnił cieniom przewagę, która z upływem lat zaznaczała się coraz wyraźniej. W katalogu muzeum pod Nrem 7238 widniała krótka notatka:

„Przedsionek kościoła" — Malarz nieznany (początek XVI w. ?). Depozyt".

Dla ścisłości nadmieniam, że malowidło zupełnie nie przemawiało do wyobraźni i nie stanowiło żadnej atrakcji dla zwiedzających. Ot, stare płótno, przeznaczone na zniszczenie!

Przyglądałem mu się często, robiąc notatki na pulpicie, który stał prawie naprost obrazu. Ponieważ, jak się okazało, pracę moją musiałem zupełnie przerobić na podstawie danych, które zebrałem dopiero w ostatnich tygodniach, przesiadywałem podówczas do późnego wieczora w bocznej sali muzeum, przeglądając i opisując pewne ryciny.

Pomnę... Było to 5-go lipca, w przeddzień złożenia mojej dysertacji. Pracowałem od kilku godzin, czytając gotową już rozprawę i porównując po raz ostatni umieszczone w niej opisy z oryginałami odnośnych sztychów.

Zbliżał się wieczór... Gmach opustoszał już dawno, a cienie wypełzające z kątów stawały się coraz większe i wyraźniejsze. Od otwartego okna szedł chłód, wzmagający się za każdem zerwaniem się wiatru. Złożyłem zeszyt, gotując się do odejścia. I w tej chwili wzrok mój padł na znajome mi dobrze płótno w dębowych ramach. Przyznaję, że nigdy w życiu nie doznałem równie silnego wstrząsu...

Obraz, który zazwyczaj tworzył ciemną plamę z ledwie widoczną postacią pokutnika, jaśniał teraz żywemi barwami. Ale nie to przyprawiło mnie o zdumienie. Być może, że zmianę kolorów wytłumaczyćbym sobie zdołał odmiennemi warunkami naświetlenia.. Zmienił się jednak sam przedmiot, sama treść obrazu.

Scena nie przedstawiała już przedsionka świątyni. Wrota kościoła, dotąd zamknięte i zaryglowane, były teraz szeroko otwarte. W niewytłumaczony sposób odsłonił się widok na główną nawę, przepełnioną ludźmi. Ujrzałem duchowieństwo w uroczystych szatach z poważnym mężczyzną na czele, który dzierżył biskupi pastorał, mężczyzn i kobiety, stłoczonych pod ścianami, oraz zakonników w białych habitach, z płonącemi świecami w ręku, którzy tworzyli, jakby szpaler od wrót kościoła aż do ołtarza w głębi. Wszystko skąpane było w potokach światła i tchnęło dziwną radością, której przyczyny nie mogłem sobie wytłumaczyć. Księża, lud, zakonnicy, zwróceni twarzami w stronę wejścia, spoglądali... tak jest, nie myliłem się.... spoglądali na leżącego krzyżem na posadzce pokutnika... tego samego pokutnika, którego malarz umieścił w pozycji klęczącej w mrocznym, pustym przedsionku kościoła.

Przetarłem oczy rękoma... Czyżbym śnił? Nie! Obraz był wyraźny, barwy żywe, postacie dobrze widoczne. Scena przedstawiała rzeczywiście wnętrze świątyni.... jakieś uroczyste nabożeństwo dziękczynne. A przecież byłbym przysiągł, że jeszcze niedawno malowidło wyglądało inaczej!

Kiedy tak wpatrywałem się w obraz, zdumiony, nie wierząc własnym oczom, dały się słyszeć kroki na korytarzu. Wszedł dozorca, aby przypomnieć mi, że pora wracać do domu. Przywołałem go skinieniem ręki. — Obraz! Obraz! — wyjąkałem. Spojrzał w kąt sali i zaklął. — Do djabła! A skądże się wzięło to malowidło? Czyżby?... Nie... To niemożliwe. Twarz jego zdradzała niepokój. Ale opanował się. Podeszliśmy bliżej do płótna. Na dębowych ramach widniała blaszana płytka z wyrytym na niej Nrem 7238, ale obraz, noszący tę cyfrę, nie przedstawiał przecież wnętrza świątyni.

Spoglądaliśmy na płótno, jakby licząc się z dalszemi jego zmianami, ale utrwalona na nim scena nie uległa już przeinaczeniu. Podwoje kościoła pozostały otwarte, a wnętrze jego jaśniało wciąż blaskiem nieprzeliczonej liczby świec. Dozorca chwycił mnie za ramię. Chodźmy stąd panie! — szepnął. — Robi się ciemno... — I pociągnął mnie w stronę drzwi.

Nazajutrz wybrałem się do muzeum, aby podziękować dyrektorowi za okazaną mi pomoc. Ale właściwie był to tylko pretekst. W głębi duszy chodziło mi o rozproszenie wątpliwości, o zbadanie tajemnicy obrazu, o przekonanie się, czy nie uległem dziwnemu jakiemuś złudzeniu.

Dyrektor przyjął mnie, jak zawsze, bardzo serdecznie. Był, jak się zdaje, uprzedzony przez dozorcę, gdyż prosił mnie zaraz o szczegóły wczorajszej przygody. Dziwne, bardzo dziwne! — rzekł, wysłuchawszy z uwagą mego opowiadania. — Może pójdziemy zobaczyć obraz... dzisiaj!

Przyznaję, że z bijącem sercem ruszyłem za mym przewodnikiem. Korytarz jeden, drugi, potem wielka sala, drzwi, mały krużganek, drugie drzwi i wreszcie stanęliśmy na miejscu. Minąłem dobrze mi znany pulpit i..... z piersi mej wyrwał się okrzyk zdumienia. Obraz przedstawiał przedsionek kościoła z ledwie widoczną na ciemnem tle postacią pokutnika w kapturze! Wrota kościoła były zamknięte i zaryglowane.

— I cóż? — zapytał dyrektor z zagadkowym uśmiechem. — Zdaje się, że uległ pan wczoraj halucynacji....

Słowa te przyprawiły mnie o zakłopotanie. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. — Ależ i dozorca... — wyjąkałem.

— Tak, tak... — rzekł dyrektor i poklepał mnie do ramieniu. — I dozorca także. Ten jest może więcej zdumiony, niż pan.... Zapewne, że to dziwne... bardzo dziwne... Zwłaszcza ta data... Piąty lipca.

— Piąty lipca? — wtrąciłem. — A cóż to ma za związek z moim przywidzeniem?

— Może się mylę — odpowiedział dyrektor — ale odnoszę wrażenie, że istnieje pewna łączność między tą datą a pewnemi wypadkami, o których wiem... które miały się zdarzyć ongiś... Muszę wyjaśnić, że ten obraz — wskazał na malowidło w kącie salki — nie jest własnością muzeum. Należał swego czasu do zbiorów hr Gruszeckich, a po śmierci ostatniego członka rodu winien był przejść z całą kolekcją portretów do dalszych krewnych. Sprawa odwlokła się jednak, gdyż przed sześciu laty niejaki pan.... nazwijmy go Łodawieckim... daleki krewny zmarłego, zgłosił pretensje do kilku przedmiotów, wchodzących w skład kolekcji. Szczególnie chodziło mu o ten obraz... pamiatke rodzinna. Nie tłumaczył wprawdzie, skąd malowidło znalazło się w posiadaniu hr. Gruszeckich, ale chciał je kupić za wszelką cenę. Nie było jednak podstaw prawnych . Spadek nie był jeszcze objęty, spadkobiercy bawili zagranicą i nie zdradzali ochoty zajmowania się zbiorami. Łodawiecki korespondował z nimi długo. Kazano mu czekać. Czekał szereg miesięcy, groził procesem, ale nic nie wskórał. Przychodził często do muzeum, przesiadywał przed płótnem, robił jakieś notatki... Obrazu poszukiwał już szereg lat, ale, jak mi mówił, dowiedział się dopiero niedawno o jego losach. Teraz obowiązkiem jego jest strzec malowidła. Strzec! Obraz nie miał żadnej artystycznej wartości i nikt by się na niego nie złakomił...

...Gdzieś z końcem marca Łodawiecki przestał nas odwiedzać. Sądziliśmy, że wyjechał. Ja przynajmniej byłem tego pewny. Minął tydzień, drugi, trzeci... miesiąc... Wreszcie pewnego dnia doręczono mi list od młodego barona Soji z Paryża. Spadkobiercy zgadzali się na sprzedaż wspomnia-

nego obrazu p. Łodawieckiemu i prosili, abym przeprowadził z nim pertraktacje. A to niespodzianka dla tego dziwaka! — pomyślałem. Zapewne ucieszy się bardzo. Adres jego miałem zanotowany... Mieszkał przy ulicy św. Jana. Postanowiłem wybrać się do niego i pomówić z nim o kupnie. I zastałem go prawie umierającego... Zachorował przed miesiącem na grypę, dostał zapalenia płuc i teraz dogorywał. Może sobie pan wyobrazić, jak mnie to zaskoczyło. Chciałem odejść, ale ktoś z obecnych, usłyszawszy moje nazwisko, prosił, abym wstąpił, gdyż chory wspominał mnie kilkakrotnie w gorączce. Zaprowadzono mnie do jego łoża. Był wzruszony głęboko. Poznał mnie i przywitał serdecznie. Wspomniałem mu o sprzedaży obrazu. Uśmiechnął się blado. Chwała Bogu! Tak mi na tem zależało! — rzekł i dodał po chwili: — Nie mam już sił i nie mogę panu tłumaczyć dlaczego. Ale... po mojej śmierci... znajdzie pan wyjaśnienie w papierach, które każę doręczyć. Próbowałem go uspokoić, zapewniając, że będzie żył. Uwaga jego była zajęta obrazem. — Szkoda... — mówił z trudnością. — Nie mogłem spełnić życzenia ojca i dziada. Nie mam dzieci... Rodzina zajmie się jednak kupnem... — Zamknął oczy i umilkł. Lekarz dał mi znak, abym go pozostawił w spokoju. Wyszedłem na palcach z sypialni chorego. Było to nasze ostatnie widzenie się. Zmarł w dwa dni potem...

— ...Może przejdziemy do pracowni — zwrócił się do mnie dyrektor. — Pokażę panu papiery, o których wspominał zmarły, a które przysłano mi po jego śmierci. Są to odpisy z dawnych jakichś dokumentów, dziś już zapewne nieistniejących. Odnoszą się one do jednego z przodków zmarłego, który przed dwustukilkudziesięciu laty popełnił świętokradztwo.... uwiódł zakonnicę, uprowadził ją z klasztoru i został wyklęty. Ale pokażę panu te notatki...

Nie chcę bawić się w szczegóły i omawiać przedstawionych mi dokumentów, tembardziej, że były to tylko kopje. W istocie, jakiś Hieronim Andrzej Łodawiecki, herbu Nałęcz, porwał przed wielu laty młodą zakonnicę z klasztoru Panien Dominikanek. Przypuszczam, że wstąpiła do zakonu, ulegając naciskowi ze strony rodziny, która chciała ją rozłączyć z owym Łodawieckim.. Oboje uciekli na Śląsk, gdzie młoda kobieta zmarła w kilka miesięcy później. Kochanek jej, uważając to za karę Bożą, wrócił do Krakowa w stroju pokutniczym. I tak mówiły dokumenty:

...„Zasię, nie mając wstępu do Domu Bożego, odtrącon przez wszystkich a ścigan przez srogi los, przestawał na modłach w przedsionku, tusząc iż wyprosi dla się przebaczenie. A iego żałość i pokaianie były tak wielgie, że Biskup nasz Krakowski umyslił utrapionego grzysznika przyiąc znowa na łono Kościoła. Co stało się w dniu piątym, miesiąca lipca, Roku Pańskiego 1551...".

Drugie pismo podawała dalsze szczegóły: „...Y ów wyklęty Hieronim Jędrzej, urodzony Łodawiecki, pomarł u OO. Dominikanów w czas ceremoniey przyięcia go po mnogich leciech z powrotem do naszey Macierzy Rzymskyego Kościoła. Wierę, pierścionki, klenoty rodowe y malunki przez niego samego uczynione, wcale dobre y udatne, zabrane są przez jego rodzonego, Wincentego, haeresa Tokar, Gruszczy etc., podstolego lwowskiego"...

— Widzi pan — rzekł dyrektor, wpatrując się w pożółkłe kartki — że w papierach tych wspomniana jest data 5 lipca jako dzień śmierci owego Hieronima Łodawieckiego. Jest w nich również wzmianka, że był on malarzem i że pozostawił jakieś obrazy. Sądzę, że jednym z nich była jego podobizna ...jeśli można tak nazwać malowidło, znajdujące się w muzeum i przedstawiające go w pokutniczym stroju. Najdziwniejszą rzeczą jest jednak, że zarówno pan, jak i dozorca, nie wiedzieliście o istnieniu tych papierów, do których nie przykładałem zresztą większej wagi. Wasza przygoda... powiedzmy raczej widzenie... nie jest zatem następstwem sugestji.

— A więc pan sądzi? — zapytałem.

— Tylko próbuję tłomaczyć — poprawił mnie dyrektor. — Podkreślam, że nie posiadam oryginalnych dokumentów... raczej odpisy i notatki, zebrane przez człowieka, którego znałem, ale którego uważałem za dziwaka. Jakie były dzieje obrazu i dlaczego Łodawiecki starał się o wykupienie go, tego nie wiem. Ponieważ jestem jednak wyznawcą teorji, że wszystko w przyrodzie ma swój wyraźny cel, poczynię znów starania o oddanie malowidła jego rodzinie, gdyż jestem pewny, że w zestawieniu przyczyn i nieprzewidzianych dzisiaj następstw stworzenia tego obrazu, pańska przygoda stanowi ważne jakieś ogniwo. Pisałem zresztą w tej sprawie już kilka miesięcy temu i oczekuję odpowiedzi... Mam jeszcze jedną prośbę... Proszę przez pewien czas zachować milczenie i o swem widzeniu nie wspominać nikomu. Mogłoby to narazić mnie na kłopoty.

I uścisnął mi rękę z wymownem spojrzeniem.

— — — — — — — — —

Jeszcze kilka słów wyjaśnienia. Oglądałem później malowidło dwa lub trzy razy, ale gdy w rok po mej przygodzie zaglądnąłem do muzeum przed wyjazdem zagranicę, nie znalazłem go już na ścianie w dobrze mi znanej sali. Spytałem przy sposobności kustosza, co się z nim stało. Zaprowadził mnie do dyrekcji i pokazał w spisie inwentarza notatkę tej treści:

> Nr inwentarza 7238 sprzedany za 250 zł p. Henrykowi Lubienieckiemu z Paryża (Rue Rossini 24).

A w rubryce: „Uwagi" znajdowała się wzmianka:

> „Stan płótna bardzo zły. Malowidło ciemne i niewyraźne. Rysunek zaciera się z każdym miesiącem coraz bardziej"!.

Tak jest... Wcześniej lub później cienie, powołane do życia przez zmarłego przed laty malarza pochłoną dzieło to na zawsze. I wtedy, być może, skończy się prawdziwa pokuta grzesznika... Dusza, znękana i potępiona, nie mogąca znaleźć spokoju po połowicznem przebaczeniu, wejdzie wreszcie do krainy jasności przez wrota dotąd dla niej zawarte. Albowiem powiedziane jest: „Kto wierzy we mnie, nie zostanie w ciemnościach!"



ARTYŚCI NA CENZUROWANEM

Leszek Pośpiełowski

★

Leszek Pośpiełowski, jeden z najbardziej ulubionych, młodych amantów scenicznych Warszawy, jest już sześć lat na scenie. Grywa przeważnie „lekkich amantów", lekkomyślnych młodzieńców lub beztroskich sportsmanów. Role tego rodzaju „leżą" doskonale w charakterze artysty i odtwarzane są przez p. Pośpiełowskiego z wzorową prostotą ujęcia i bezpośredniością.

— Dobrze się czuję w tych rolach — mówi nam p. Pośpiełowski — bo przeważnie gram takich, jakim jestem... Postacie z końcowych faz lat szczenięcych.

To „exposé" artysty może być oczywiście rozumiane tylko w swem dodatniem znaczeniu. Trudno przypuszczać, aby w wywiadzie, jak niniejszy, mogła być mowa o młodzieńczej... lekkomyślności w życiu prywatnem sympatycznego rozmówcy!

Leszek Pośpiełowski ukończył Państwową Szkołę Dramatyczną (obecny PIST) w roku 1932. Pierwsze engagement otrzymał do Wilna, gdzie spędził wybitnie pracowity pierwszy rok swej pracy na scenie. Trzydzieści dwie premjery w roku! W porównaniu z Warszawą, gdzie dobry teatr, cieszący się powodzeniem u publiczności, miewa w tym samym czasie trzy do czterech premjer, jest to różnica istotnie kolosalna. Ma to zresztą i dobre strony, zwłaszcza dla artysty, który stawia dopiero pierwsze kroki; daje bowiem pole do przejścia wielkiej ilości ról, nauki praktycznej i studjów. W tym czasie p. Pośpiełowski grał m. in. rolę tytułową w „Marjuszu" Pagnola, Pana Młodego w „Weselu". Następnie pracuje dwa sezony w teatrach T. K. K. T. w Warszawie i jeden sezon w Teatrze Miejskim we Lwowie, gdzie grał m. in. Gustawa w „Ślubach Panieńskich" Fredry, później usadowił się młody artysta w Teatrze Ateneum, prowadzonym przez „majstra" Stefana Jaracza. (Zespół artystyczny Teatru „Ateneum" nazywa swego dyrektora i mistrza „majstrem").

W Ateneum sypnęły się na Leszka Pośpiełowskiego doskonałe role, które trwale zdobyły mu sympatje publiczności i przysporzyły wiele bardzo przychylnych recenzyj. Do ról tych należy przedewszystkiem postać młodego ministra w komedji „Woźny i Minister" Birabeaux, świetna rola o zacięciu charakterystycznem „maminego synka", kabotyna, który dzięki protekcji i zbiegowi okoliczności zostaje na kilka dni ministrem. W „Ludziach na krze" gra Pośpiełowski rolę Jurka footbalisty, a dalej Filona w „Pannie Maliczewskiej", ostatnio zaś młodego studenta, amanta, który „za darmo korzysta, gdzie może", w głośnym sukcesie Teatru Jaracza p. t. „Szóste piętro". W tej roli Pośpiełowski podbija kolejno serca niemal wszystkich kobiet, występujących w akcji — prócz tego zaś niewątpliwie jeszcze i serca... pań na widowni. Pan Leszek bowiem — trzeba to lojalnie przyznać — ma w sobie to rzadko spotykane, sympatyczne „coś", co bierze za serce. Może to jest sylwetka zgrabnej męskiej postaci, może umiejętność wytwornego wiązania krawatu — nie wiem.



Leszek Pośpiełowski w roli Lorenca w „Kupcu Weneckim" Szekspira (Teatr Polski w Warszawie) w scenie wykradzenia Jessyki, którą grała Irena Borowska (1934).



Jedno z ostatnich zdjęć sympatycznego artysty. Fot. St. Brzozowski — Warszawa.

Jestem mężczyzną, i — nie znam się na tem.

— Jest pan niewątpliwie zadowolony ze swego stage'u w Ateneum — zapytuję p. Leszka. — Wszakże mógł się pan za te dwa lata doskonale „wygrać".

— O tak — potwierdza artysta — wszystkim nam w Ateneum jest doskonale pod opieką majstra. Czujemy się jak w rodzinie.

— Czy ten znaczek na klapie pańskiej marynarki wyobrażający literę „A", to może znak Teatru Ateneum?

— Zgadł pan. To jest nasz znaczek. Wszyscy taki nosimy.

Zaciekawiony zapytuję o cel noszenia znaczka. Wiem bowiem, iż w Warszawie niema zwyczaju, by zespoły teatralne używały — podobnie jak związki i stowarzyszenia sportowe, lub społeczne, specjalnych odznak.

Artysta robi tajemniczą minę, poczem odpowiada:

— Znaczki nosimy, żebyśmy się poznawali na mieście...

— Jakto, czy jest tak dużo osób w zespole?

Dokończenie na str. 12-tej.

— Nie..., ale są pewne okoliczności życiowe... pan rozumie, przy których można się pomylić!

Nie byłoby wywiadu z aktorem, gdyby nie padło stereotypowe pytanie ze strony dziennikarza: — Jakie uprawia pan sporty? — Jest to pytanie, na które — jak mi się zdaje — nie padła od początku świata ani jedna szczera odpowiedź. Leszek Po-

— Czy pan mnie pyta prywatnie, czy urzędowo?

— Ależ oczywiście! Urzędowo! jak wypada w uroczystym wywiadzie.

— W takim razie uprawiam: pływanie, wioślarstwo, strzelanie z karabinu, łuku, wiatrówki, skoki wdal, wzwyż, o tyczce, bez tyczki, przez płotki, gram w piłkę nożną, ręczną, gram w siatkówkę, krokieta, bi-

na rowerze, na motocyklu; raz w Zoo jechałem nawet na wielbłądzie. Miałem wówczas siedem lat.

Formalności stało się zadość.

— Może wobec tego teraz odpowie mi pan prywatnie? — zapytałem.

— Ach, prywatnie? Nie uprawiam żadnego sportu. Jedyny sport — to scena.

Romit.

Dokończenie ze str. 5-ej.

dzynarodowej Wystawie Rzemiosła — a jest ich poza Niemcami 24 — starało się w swych stoiskach, ustawionych państwami, dać rzeczy najlepsze, najciekawsze i najbardziej charakterystyczne dla danego kraju. Przegląd też stoisk poszczególnych państw daje pojęcie o wytwórczości danego kraju, o jego zamiłowaniach i dążeniach. Wszystkie działy rzemiosła są w pełni reprezentowane. Niema nieomal przedmiotu użytkowego z życia codziennego, którego nie byłoby na wystawie w rozmaitych rodzajach i odmianach. Daje ona w ten sposób rzeczywiście przekrój życia współczesnego i obraz obecnej kultury materjalnej.

Niewątpliwie najciekawszemi są zestawione warsztaty pracy w ruchu. Tu widzimy całą kuźnię, przeniesioną z wszystkiemi narzędziami z Karyntji, gdzieindziej pracy złotnika przygląda się z zainteresowaniem gromadka zwiedzających, podziwiając jego zręczność, tam znowu srebrnik przybyły z Jugosławji wykonuje na oczach wszystkich delikatne wyroby filigranowe. W innym zakątku wystawy stajemy przed włoską pracownią skrzypiec, tu podziwiamy zręcznego rzeźbiarza z Bretanji, tam doświadczony szlifierz z bezkształtnej bryłki minerału wyczarowuje zdobny kształt szlachetnego kamienia, który ogniem lśnić będzie w pierścionku pięknej pani. Młody zręczny rzemieślnik z południowych Niemiec z kawałka drzewa stwarza piękne kształty lalek i zwierząt, które cieszyć będą świat dziecięcy, gdzieindziej podziwiamy wielką zręczność garncarza, tam znowu mamy sposobność przyglądnąć się zorganizowanej pracy warsztatu gdańskiego i widzieć, jak stopniowo z bezkształtnej bryłki bursztynu, wyrzuconego przez fale morskie, powstaje piękny złocisty naszyjnik. Z wielu krajów przybyły regjonalne warsztaty tkackie, w których na oczach zwiedzających wystawę rośnie wzorzysta tkanina, wykonywana przez kobiety piękne, wystrojone w stroje ludowe.

I rzemiosło polskie, które — jak wiadomo — pod względem liczby zatrudnionych jest drugiem zkolei po rolnictwie działem gospodarki narodowej, dobrze reprezentowane było na wystawie. Świadczą o tem liczne pochlebne wzmianki w prasie niemieckiej, a przedewszystkiem liczne wysokie odznaczenia, które przyznano polskim wystawcom.

Dr. M.

Dokończenie ze str. 6-ej.

sób załatwić, bowiem tak wykonanym zdjęciom brak jest dostatecznej dozy realizmu.

Trudno mi opisać uczucia, jakich doznawałem, słuchając wywodów Toma Smitha. Spoglądałem na niego z nieukrywanym podziwem i niemal szacunkiem, utrwalając się coraz silniej w przekonaniu, że jedynie korzyści materjalne i wysokie niewątpliwie honorarja mogły skłonić go do obrania sobie tak niesamowitego zawodu. Zaryzykowałem niedyskretne zresztą pytanie, jak przedstawia się kwestja znacznych zapewne kosztów, które ponosi wytwórnia filmowa, zamawiając jakąś efektowną kraksę. Odpowiedź brzmiała wręcz rewelacyjnie.

— Koszta zależą od wymagań reżysera — ciągnął Smith — jeśli żąda on np. by samochód czy samolot zostały w katastrofie zniszczone lub spaliły się, wtedy wytwórnia musi ponieść koszta zrujnowanych doszczętnie maszyn, albo dostarcza ich sama. Zazwyczaj rozbijamy się w naszych maszynach i po kraksach naprawiamy tylko te, które okazały największą wytrzymałość. Jest to bardzo ważne ze względu na nasze bezpieczeństwo. Ceny tych groźnych scen mamy poniekąd ustalone. Tak np. zderzenie się dwóch samochodów kosztuje 600 dolarów, rozbicie maszyny na drzewie czy murze 400 dolarów, zderzenie samolotów w locie 800 dol. itd. Najdroższe są sceny, w których samochód czy samolot ma po wypadku zapalić się. Kosztuje to 1000 dol. i wiecej, bowiem niebezpieczeństwo spalenia się żywcem jest pomimo wszelkich ostrożności bardzo wielkie.

Przerwał na chwilę, a ja, korzystając z tego, wtrąciłem kilka uwag: — Jak widzę, ceny nie są wygórowane i nie stoją w żadnym stosunku do niebezpieczeństwa, na jakie się panowie narażają. Zdaję sobie doskonale sprawę z tego, że w takich umyślnych katastrofach ułamki sekundy są niejednokrotnie decydujące i że niema poprostu czasu na jakieś mniej lub więcej planowe działanie. Nadmieniał pan na początku naszej rozmowy o stworzeniu naukowych niemal reguł przeprowadzania tych wszystkich karkołomnych sztuczek. Czyżby możliwem było przy ich pomocy wyeliminować całkowicie niebezpieczeństwo?

Uśmiechnął się, słuchając mych wywodów: — Jest to poniekąd tajemnica zawodowa, ale mogę śmiało uchylić jej rąbka. Sprawy te bowiem w praktyce nie są wcale takie proste, jakby to z opowiadania mego wynikało. Sztuka polega na tem, aby na moment przed zderzeniem opuścić maszynę, wyskoczywszy z niej, albo pozwolić się wyrzucić siłą bezwładności. Następnie przy upadku na ziemię należy się odpowiednio zachować, celem odparowania silnego nieraz uderzenia. Wymaga to wszystko wielkiej wprawy i zręczności, której nabywa się dopiero z czasem. Prócz tego stałym naszym ekwipunkiem są hełmy i kaski oraz skórzane, obficie watowane ubrania. Zależnie od potrzeby siedzimy we wnętrzu samochodu, albo gotowi do opuszczenia go, albo silnie przypasani. Wszystkie odstające części wewnątrz wozu owija się miękkiemi materjałami. Zdarzało się bowiem często, że powodowały one poważne obrażenia. Ja sam złamałem obojczyk na włączniku do startera, wjeżdżając dużym Buickiem na przydrożne drzewo. Mimo tych najdalej posuniętych ostrożności możliwość wypadku istnieje w dalszym ciągu. Czasem ma się poprostu pecha i żadne zabezpieczenia nie pomogą.

W początkowych latach istnienia naszego przedsiębiorstwa, trzech moich współpracowników straciło w tragicznych okolicznościach życie. Pierwszy z nich nie zdążył wyskoczyć na czas z pędzącego z zawrotną szybkością samochodu i spadł wraz z nim na dno kilkudziesięciometrowej przepaści. Był to nasz najodważniejszy kolega. Śmierć jego zniechęciła nas na dłuższy czas do tej niebezpiecznej pracy. Drugi zkolei, świetny lotnik, wyskakując ze spadochronem z płonącego samolotu, nie zauważył widocznie, że rozlana i zapalona umyślnie w kabinie benzyna, zwilżyła również jego spadochron. Delikatna tkanina spadochronu została momentalnie zniszczona przez płomienie. — Straszny to był widok, gdy po chwili przepalony spadochron rozdarł się, a towarzysz nasz z wysokości kilkuset metrów runął na ziemię. Zabił się na miejscu. Trzeci stracił życie w wypadku motocyklowym, zresztą nie z własnej winy, czy nieostrożności. Zadaniem jego było dogonić uciekający samochód i przesiąść się w biegu do niego. — W chwili, gdy to czynił, oderwało się zapasowe koło od samochodu i wpadło pod koło motocykla. Rezultatem wypadku było złamanie podstawy czaszki przez naszego kolegę. Ja sam mam kilkakrotnie złamane nogi i ręce w najrozmaitszych kraksach, kilkanaście razy złamane żebra czy obojczyki. Najniebezpieczniejsze są sceny, w których samochód czy samolot ma po rozbiciu się — spłonąć. Prócz wszystkich innych niebezpieczeństw, grozi nam jeszcze spalenie się żywcem. Przeżyłem taki wypadek. Miałem, jadąc z szybkością 70 mil na godzinę, doprowadzić do nakrycia się kołami dużego otwartego Lincolna. Wszystko szło w należytym porządku. Zbliżając się do zakrętu, w którym miałem przewrócić wóz, zapaliłem przygotowaną w tym celu benzynę i szarpnąłem nagle kierownicą, gwałtownie hamując. Z łoskotem przewróciła się kierowana przezemnie maszyna, a ja, przygotowany do wyskoczenia w decydującym momencie, uderzyłem głową o karoserję tak silnie, że straciłem przytomność. Przebudziłem się dopiero w szpitalu, dotkliwie poparzony na całem ciele. Jednak zdjęcia udały się doskonale, a to było w danej chwili najważniejsze.

— Bardzo często nakręcane sceny nie udają się z powodu nerwowości „kamera man'ów", którzy, widząc pędzący na nich samochód czy motocykl, zapominają o filmowaniu i ratują się ucieczką. Z czasem nabrali oni jednak zaufania do precyzji, z jaką staramy się odgrywać te okropnie wyglądające sceny i przekonali się, że potrafimy kierować ich przebiegiem ściśle według wskazówek reżysera. Są coprawda sytuacje, które mogą napędzić strachu nawet postronnemi widzowi; fotografowi jednak nic nie grozi, bo miejsce zderzenia czy wywrócenia wozu jest przez nas dokładnie obliczone.

— Zapewne zainteresuje pana, co skłoniło mnie do obrania sobie tak niebezpiecznego zawodu. Od najmłodszych lat jestem zapalonym sportowcem i jeżdżąc na rowerze czy motocyklu, przeżyłem cały szereg groźnych wypadków, wychodząc z nich cało. Zacząłem interesować się możliwością dokonywania umyślnych upadków, bez ujemnych skutków. Potem przeszedłem na samochody i trenując na żużlowych torach, doszedłem do dostatecznej wprawy. Następnie otrzymawszy dyplom pilota, zacząłem próbować szczęścia na samolotach. Gdy w kilka lat potem znalazłem się w Hollywood, wykorzystałem swe „studja", zakładając wspomniane przedsiębiorstwo. Jak dotychczas, wiedzie mi się dobrze. Zniszczyłem już samochodów, samolotów, motocykli i innych maszyn za kilkadziesiąt tysięcy dolarów. Mam zamiar popracować w ten sposób jeszcze kilka lat, a później, o ile jeszcze będę żywy, rozglądnę się za jakimś spokojniejszym zawodem.

Na tych słowach Tom Smith zakończył swe ciekawe opowiadanie. **Inż. J. Sch.**



POEZJ
ŚREDNI
WIECZNYC
MURÓ
KOŚCIÓŁ ŚW. KR
W KRAKOWIE
Fot. Feliks Nowi

MAIKO-KWIATY Z POD FUDŻIJAMY



Widok na Fudżijamę, świętą górę Japonji.

Co to są gejsze?

Gejsza — jest artystką, i z osławną Yosziwarą (domy publiczne) nie ma nic wspólnego. Japończycy nazywają gejsze „barwnemi motylami“ lub „wonnemi kwiatami“; są one niejako wzorem wszelkich uroków kobiecych Japonki. Młode dziewczęta, niemal dzieci, bo już w wieku



Dwa fragmenty widowiska „Azumo-Odori“ w Tokio — od lewej: Nimfa topielica kusi młodzieńca. — Przekupnie, udający się na jarmark z towarem.

lat 10, przyjmowane są do szkół (zakładów) gejsz; tam są kształcone, uczą się śpiewu, tańca, muzyki, gry na samisenach, koto, tsuzumi — (instrumenty muzyczne japońskie), etykiety, obyczai towarzyskich, czytania i pisania, układania artystycznego kwiatów, ceremonjału herbaty, gracji ubioru i ruchów, wogóle wszystkiego, co jest niezbędne, by być „damą“ w pojęciu japońskiem.

Zapytałam pewnego dnia mego dobrego znajomego Japończyka, Kondosana, jak się też nazywają po japońsku młodociane adeptki na gejsze? — „Hangyoku“ lub „Maiko“ — objaśnił mnie z miłym uśmiechem — czyli „pączki kwiatów“, które z czasem rozwijają się w kwiaty subtelne, t. j. gejsze. Przy przyjęciu „maiko“ do zakładu — ciągnął — rodzice otrzymują za nią umówioną sumę pieniężną...

— Jednem słowem, sprzedają ją — wyrwało mi się realistyczne określenie.

— ... temże samem „maiko“ staje się „własnością“ zakładu — mówił dalej mój informator, jakby nie słyszał moich słów — i jest nią nadal jako „gejsza“, z tą tylko różnicą, że teraz przysparza zakładowi dochody.

— W jaki sposób gejsza przynosi zakładowi dochody — zapytałam z żywem zainteresowaniem.

— Bardzo poprostu — odpowiedział — eskploatuje się to, czego się ich przez wiele lat uczyło. Gejsze są „wynajmowane“ celem uświetnienia wystawnych bankietów i dużych przyjęć, na których bawią gości rozmową wesołą, tańcem, śpiewem lub muzyką. Jest zwyczaj w Japonji przyjęty, że żadne wystawniejsze przyjęcie nie obchodzi się bez gejsz, tem tłumaczy się wogóle powstanie zakładów, kształcących odpowiednio młode damy i proszę mi wierzyć, że zakłady te bardzo dobrze prosperują. Zarobki gejsz wypłacane są na ręce ich „właścicieli“, którym są one stale winne już to za swoją edukację, już to za bogate stroje, no i za utrzymanie.

— No, dobrze, ale czy one nigdy... czy one mogą... — jąkam się, nie mogąc znaleźć przystępnej formy pytania — przecież one nie są zakonnicami!?

— Gejsza jest wolną kobietą poza swemi obowiązkami i może robić poza niemi, co jej się podoba, a więc jak jej serce dyktuje. Zdarza się nierzadko, że ma przyjaciela lub znajduje bogatego protektora, który za odpowiednią sumę (zawsze dużą — gejsze są kosztowne!) wykupuje ją z zakładu i żeni się z nią. Gejsze są bardzo pożądanemi żonami, posiadają wykształcenie, delikatność i subtelność.

Często zdarzało mi się widzieć tańczące Japonki, lecz żadna nie mogła dorównać gejszy. Tańce japońskie zw. „Odori“ nie mają nic wspólnego z tańcami europejskiemi, które, notabene, są uznane w Japonji za „niemoralne“. „Odori“ to taniec pozowany, o powolnych ruchach ciała, rąk i nóg, w kolanach zawsze zgiętych. Odori nigdy nie jest tańczony przez mężczyzn, ani z mężczyznami. Tancerki używają różnych akcesorjów przy tańcu, jak: wachlarzy, naręczy kwiatów, parasolek, koszyczków, etc., oczywiście zależy to od treści utworu interpretowanego tańcem. Tancerkom towarzyszy zawsze jedna lub kilka gejsz, siedzących na podłodze na matach i grających na semisenach (3-strunowy instrument, przypominający mandolinę, tylko kwadratowy) i śpiewających słowa, które tancerka odtwarza tańcem. Często przy tem używane są bębny ramienne w. „tsuzumi“. Gejsze są szczególnie dobrze wyćwiczone w tańcu, który jest niezmiernie trudny, pozbawiony wszelkiej mimiki, twarz bowiem tancerki ma stale jednakowy wyraz, a raczej jest bez żadnego wyrazu, bez zmiany, jak maska o obojętnej minie. Odori te nie się z biegiem czasu nie zmieniły i tkwią w archaiźmie dawnych wieków.

* * *

W czasie kwitnienia wiśni, (kwiecień) bywają urządzane przez szkoły gejsz w Tokio i Kioto przedstawienia, niezmiernie wypracowane i urozmaicone. Bierze w nich udział ok. 200 gejsz w wieku od 15—18 lat, bogato poubieranych i specjalnie wyuczonych i wybranych. Widowiska te nazywają się w Kioto „Miyako-Odori“, a w Tokio „Azumo-Odori“. Najwspanialsze „Azumo-Odori“ widziałam w Tokio w teatrze „Szimbaszi Embudżo“. Szeregi barwnych lampjonów, zw. czioczi, zawieszonych wzdłuż ulic naprzód, wskazują drogę do teatru, którego fronton jest również zawieszony gęsto lampjonami jeden obok drugiego i przybrany sztucznemi krzewami rozkwitłej wiśni.

Dwa razy dziennie, o 4 i o 8 roi się przed teatrem od wystrojonej publiczności. Nie pchają się jednak, co chwila słychać słowo: sumimasen gozaimas (przepraszam) i biją sobie pokłony. Młodzież przeważa, można to łatwo rozpoznać po barwach kimon. Każdy wiek ma swój kolor. I tak dzieci i młodzież nosi bardzo jaskrawe kolory (czerwony), które z wiekiem wchodzą w coraz to więcej stosowane barwy, a od 30 lat obowiązują bezwzględnie kolory poważniejsze, jak: jasno-szary, popielaty, fioletowy (lilla), ceglasty, aż przechodzą w okres ciemno-szarego i czarnego, oznaczającego wiek poważny i schyłek życia. Przypuszczam, że w Europie obecnie żadna kobieta by się na taki „zdradliwy“ podział kolorów nie zgodziła, albo... zniknęłyby z powierzchni ziemi kolory ciemne. Japonki jednak bardzo ściśle trzymają się tego „rozkładu“.

* * *

Jestem już na widowni, przedemną scena, również lampjonami zawieszona, ale czyż ta widownia nie jest również sceną? Czegóż barwniejszego, czegóż więcej uroczego i niepospolitego mogę spodziewać się od sceny właściwej? Widząc mnie, prawie jedyną Europejkę na sali, młodziutkie gejsze również obdarzają mnie swem zainteresowaniem żywem, wskazując sobie mnie palcami i chi-

chodząc — uśmiecham się i ja do nich. Matki pokazują mnie dzieciom, mówiąc: anone, griffin, ne.... (Europejka) — i w uśmiechu pokazują bardzo zepsute zęby — wszyscy Japończycy mają z natury bardzo brzydkie zęby. Powietrze jest przepełnione dusznym zapachem olejków, których gejsze i elegantki japońskie używają do natłuszczania włosów. Bardzo to nieprzyjemny zapach dla powonienia Europejczyka.

Światła na widowni gasną; roztwierają się kotary wzdłuż obu stron widowni, gdzie na matach na podwyższeniu siedzi dwanaście czarno ubranych gejsz, o dużych czarnych fryzurach, z których 6 towarzyszyć ma akcji muzyką na samisenach, a 6 zw. „Jikata" — śpiewem, na scenie bowiem wszystko będzie mimiką, z małemi tylko wyjątkami. Scena jest bardzo duża ,niska i szeroka. Z lewej strony scena wrzyna się w widownię szerokim pomostem, na wysokości głów siedzących osób, łącząc scenę z wejściem na widownię. Pomost ten jest bardzo często używany w teatrach japońskich, aktorzy bowiem nie zawsze z za kulis wchodzą na scenę, a właśnie przez ten pomost wzdłuż widowni, który jest oświetlony, jak scena, lampjonami. Wejście aktorów przez ten pomost jest nadzwyczaj efektowne. Dodaje to przedstawieniu więcej rozmachu akcji. Gdy scena przedstawia n. p. ulicę miasteczka, pomost wśród widowni staje się szosą, prowadzącą do tego miasteczka, na której dzieją się różne figle lub dramaty, rozmowy lub przeobrażenia postaci, zanim prawdziwa akcja rozegra się na scenie.

Sam program „Azumo—Odori" zapowiada wielką rozmaitość. Składa się z 2 części i 16 scen w 12 kolorach, każda scena utrzymana w innym kolorze, jak n. p.:

Scena I — w kolorze białym — przedstawia mały domek japoński, tonący w bieli śniegu. Na tle domku tańczą 24 gejsze przy akompanjamencie samisenów. Efekt świetlny padającego śniegu jest prześwietny.

Scena II — w kolorze żółtym — festiwal doroczny na cześć bóstwa kowali mieczów, obchodzony 8 grudnia. Kolor żółty jest tu reprezentowany w rozżarzonem żelazie i pomarańczowych lampjonach.

Scena III — w kolorze indygo. — Akcja odbywa się nad rzeką Sumidą; wyłania się z rzeki (schodzi na scenę przez pomost nakryta cała gęstą gazą) dusza kobiety, która się w rzece utopiła na skutek zawiedzionej miłości. Nimfa o zmroku przybiera postać pięknej kobiety, objawiając się przechodzącym nad rzeką młodzieńcom i gdy tylko się w niej zakochują, zamienia się nagle w demona, odstraszając ich. Jeden tylko młodzieniec szlachetnego rodu Ari vara-no Narihira, nie przeląkł się demona, w którego zamieniła się nimfa i przez to zniweczył zaklęcie i uzyskał dla niej spokój wieczny. Kolor indygo wyrażony jest w tym obrazie w kolorze rzeki błękitno-zielonej, otulonej w mgłę, podczas gdy całość przypruszona jest szarością zmroku. Wybija się świetnym błyskiem srebrna szata młodzieńca. Koloryt sceny zmienia się tylko w momencie przeistaczania się nimfy w demona, gdy zrzuca wierzchnie kimono, odkrywając szkarłatne i twarz ubierając w maskę potwora z rudą czupryną.

Scena IV — kolor fioletowy — rzecz dzieje się w Yosziwara (domy publiczne) — Hirai Gombaszi jest posądzony o morderstwo i potajemnie odwiedza swą ukochaną Komurasaki, mieszkankę herbaciarni w Yosziwara, aby się z nią pożegnać. Komurasaki wierna swej miłości, wybiera śmierć raczej, aniżeli rozłąkę i popełnia samobójstwo wraz z Gombaszi. Koloryt fioletowy tej scenki wyrażał się w kimonach obu postaci, jego kimono o tonach ciemnych, jej — jaśniejszych, w kilku odcieniach. Cała scenka (miniczna) posiadała dużą dozę pikanterji intymnej, podkreślającej rozdarte serca i rozpacz, że trzeba się już z życiem rozstać, a tu się chce tak bardzo żyć! Mimicznie odegrane zostało to tak wysoce artystycznie i tak wyraziście, z takim równocześnie umiarem, iż trudno nie przyznać Japończykom, że są w aktorstwie prawdziwymi majstrami, a cóż dopiero, gdy się uprzytomni, że grały to przecież młodziutkie gejsze! Trudno uwierzyć.

Scena VI — kolor bronzowy — historja miłosna wesoła w Umegoyomi. Rywalizowanie dwóch gejsz z dzielnicy Fukagawa o kochanka i bitka o niego, wyrażone tańcem. Scenka ta budzi powszechną radość i coraz to wybuchają śmiechy na sali. Widzowie nie posiadają się z radości, widząc ucieczkę niefortunnego kochanka, któremu nie udało się „dwie pliszki za ogon trzymać". Umknąwszy wyrywającym go sobie wzajemnie kobietom, ucieka co sił w nogach ze sceny przez pomost, gubiąc części garderoby po drodze. Gejsze przez ten czas wydzierają sobie jego haori (płaszcz jap.). Scenka ta bardzo pikantna, (jakże różna od poprzedniej!) została odegrana z dowcipem i humorem. Nie budziła niesmaku i chociaż treść była banalna, niemal wulgarna, stała się dzięki subtelnemu umiarkowaniu i kulturze artystycznej wykonawców uroczo zabawną, psotną. Wszystko tam było wyrażone ruchami tanecznemi, a walka prześwietnie pozowanym tańcem. Kolor bronzowy panuje w tej scence począwszy od ścian wnętrza domku i przechodzi wszystkie niemal odcienie bronzu w kimonach wykonawców.



Scena z „Miyako - Odori" w Kioto (walka o płaszcz kochanka).

* * *

Obfity w tym rodzaju program jest jeszcze „urozmaicony" międzyscenkami, odgrywanemi w czasie obracania się sceny rotacyjnej, kurtyna bowiem nie opada, aż dopiero podczas pauzy, mniej więcej w połowie przedstawienia.

W czasie pauzy, trwającej około 30 minut, cała niemal publiczność wysypuje się do restauracji w foyer na przekąskę. Są już przygotowane w miseczkach smaczne „Tempura" — potrawa jap. z raków małych na ryżu, na zimno, z piklami zw. „Ko-no-mono", bardzo popularna wśród Japończyków, lub „Misosziru' — zupa z grochu, albo „Saszimi" lub „Oyiu" — surowe ryby krajane (Japończycy przeważnie surowe ryby jedzą) w plasterki z ryżem gotowanym „Gohan" i „Konno-mono" (piklami). Japończycy wszystko jedzą z piklami.

Dzieci garną się oczywiście — jak wszędzie na świecie — do słodyczy. Dla ciekawości i ja je spróbowałam — są dla mnie okropne! Nałożyłam sobie na talerzyk 2 ciastka malutkie, smacznie wyglądające, ale ani połowy jednego nie zjadłam. Zrobione z gniecionego grochu są ciężkie, sytne i mają „Ko-no-mono" (pikle) wewnątrz, które ze słodyczą ciasta wytwarza smak wybitnie nieprzyjemny dla europejskiego podniebienia. Nie chcąc robić przykrości memu towarzyszowi (Japończykowi), chwaliłam te ciastka, próbując nawet jeść, brałam w pałeczki jak najmniejsze kawałeczki, ale... korzystając z jego odwrócenia się, oba ciastka wrzuciłam sobie do kieszeni i... odetchnęłam z ulgą.

Miły mój towarzysz chciał, bym doznała jak najwięcej wrażeń... przedstawił mi kilka swoich znajomych gejsz, które zkolei ściągnęły swoje koleżanki i w krótkim czasie zostałam otoczona „wieńcem" filigranowych barwnych stworzeń, otynkowanych na biało, a czarne ich fryzury zdawały mi się czar-

Dokończenie na str. 31-ej.



Scena zbiorowa „Azumo-Odori" w tokijskim teatrze „Szimbaszi Embudżo".



Zespół gejsz w kostjumach z ery Genroku („Azumo-Odori").

„TARTAK GROZY"



Medjum zostaje uśpione.



Hipnotyzer układa je pod piłą.



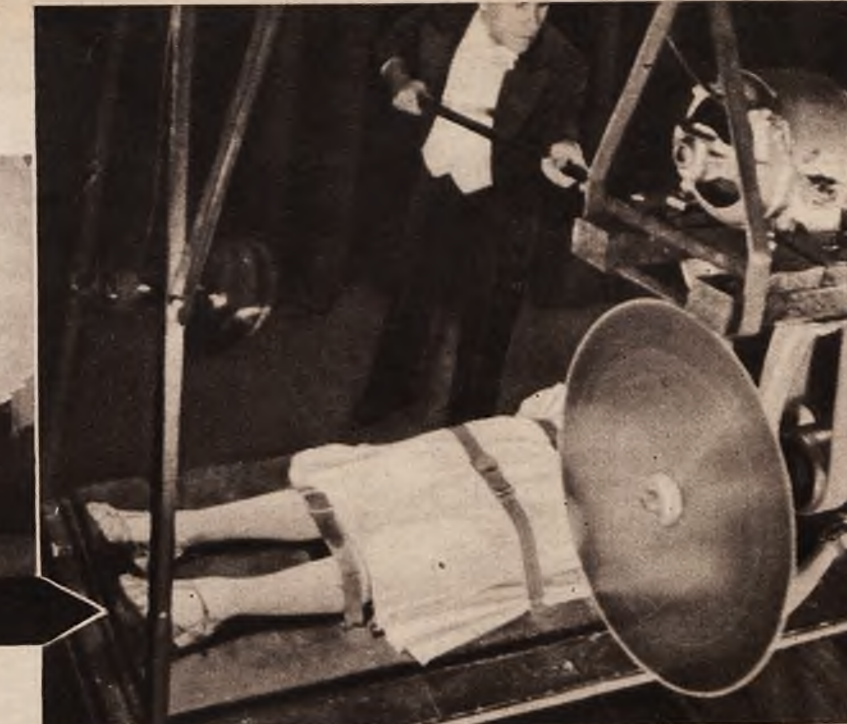
A tu zostaje ono przypasane do deski aparatu.



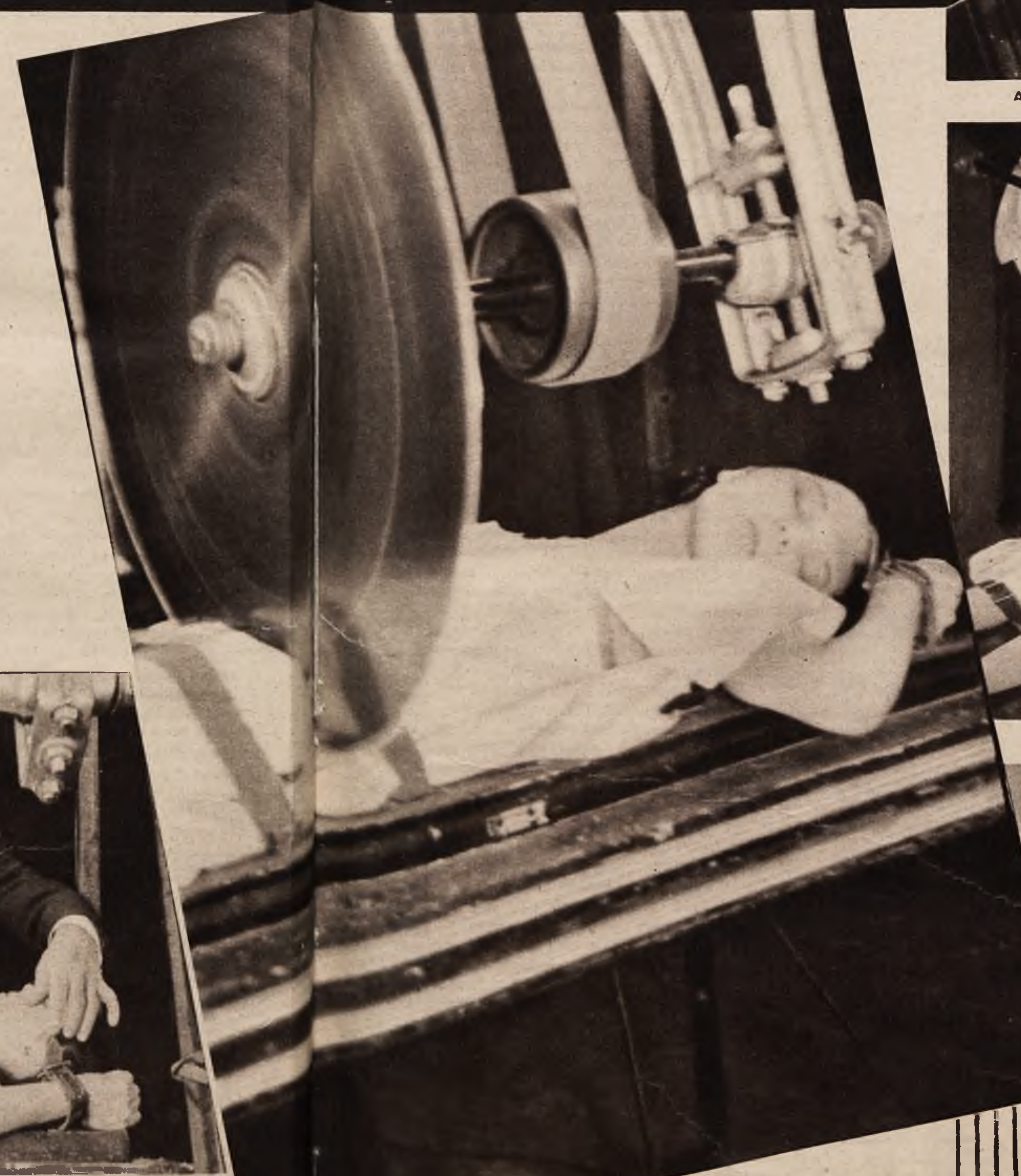
Włączanie motoru, który porusza piłę.

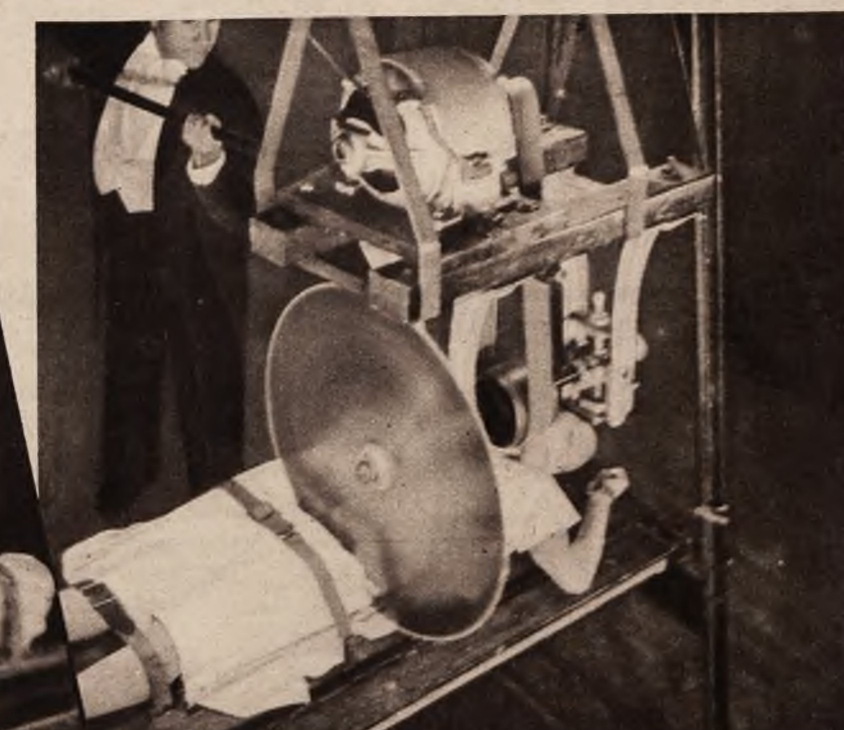
Jedną z największych sensacyj amerykańskich varietés są występy hipnotyzera Williama O'Maly i jego medjum w numerze, nazywanym „tartakiem grozy". Produkcje tej pary odbywają się na scenie jasno oświetlonej, tak że żaden szczegół nie może ujść uwadze widzów. O'Maly wprowadza młodą kobietę, ubraną w rodzaj tuniki z białego płótna, usypia ją i następnie przenosi z pomocą swego asystenta na deskę o znacznej grubości, która znajduje się pod maszyną elektryczną, połączoną z piłą o kształcie kolistej tarczy. Medjum zostaje przypasane do deski, poczem O'Maly puszcza w ruch motor i oddala się od aparatu. Piła zaczyna wirować i powoli zbliża się do ciała uśpionego medjum. Wszyscy na widowni śledzą jej bieg z zapartym oddechem. Każdy zdaje sobie sprawę, że jeszcze kilka sekund, a ostre zęby piły dotkną biodra kobiety i zaczną je dosłownie „piłować". Maszyna jest nieustępliwa. Jej ruch powodujący tylko lekki szum, coraz bardziej podnieca widownię. Słabsi mdleją... Podnoszą się okrzyki w różnych stronach widowni... I ku przerażeniu publiczności piła zatapia straszne zęby w ciało medjum, przepoławiając je poprostu na dwie części. Wielu przysięgłoby, że widzi odlatujące z wirującej tarczy strzępki płótna z tuniki medjum. I nie mylą się, bo po skończonym eksperymencie każdy sobie może oglądnąć tunikę, przeciętą precyzyjnie przez maszynę. Ale tymczasem odważniejsi starają sie rozumowo wytłumaczyć sobie to niepojęte zjawisko. Uderza ich przedewszystkiem brak śladów krwi, a więc brak zranienia ciała medjum i to już wystarczy do upewnienia się, iż cały eksperyment polega na zręcznym tricku. Ale na jakim? W tem sęk. Jeden z amerykańskich reporterów tak tłumaczy przebieg akcji w „Tartaku grozy": Gdy kobieta leży już na desce, hipnotyzer lub jego pomocnik wkłada zręcznie pod jej tunikę np. cieniutkie pręty, które powodują, że płótno nie zapada się w momencie, gdy medjum, specjalnie wyćwiczone, wsuwa biodra przy silnem wygięciu kręgosłupa do zapadni w desce, niewidocznej na początku eksperymentu dlatego, ponieważ zasłania ją odpowiednie urządzenie (np. dopasowana do otworu deszczułka, którą przytrzymują sprężyny). W ten sposób piła przecina tylko tunikę, nie dotykając nawet ciała medjum. Czy tak jest w istocie? — trudno się przekonać, bo pan O'Maly nikogo do aparatu nie dopuszcza.

L.



Aparat jest już w ruchu — za chwilę piła dotknie ciała medjum.





Koło, zaopatrzone w ostre zęby, wirując, wrzyna się w ciało medjum.

Na lewo: Tu aż nadto widocznem jest działanie strasznego narzędzia w „Tartaku grozy".



Kobieta, którą przed chwilą dosłownie piłował aparat, uśmiecha się cała i zdrowa do swego „pana i władcy".



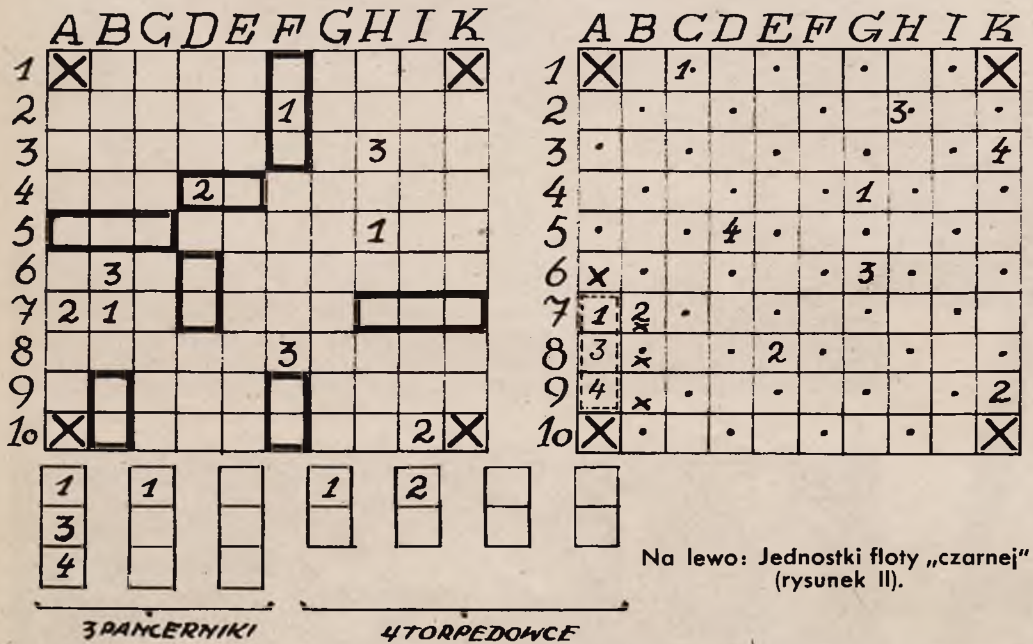
„Przepiłowane" medjum hipnotyzer budzi z uśpienia.

Wszystkie zdjęcia: MUNDI — Amsterdam.

Zabawa w okręciki

DOWÓDZTWO FLOTY „BIAŁEJ".

TABELKA PIERWSZA. TABELKA DRUGA (orjentacyjna).

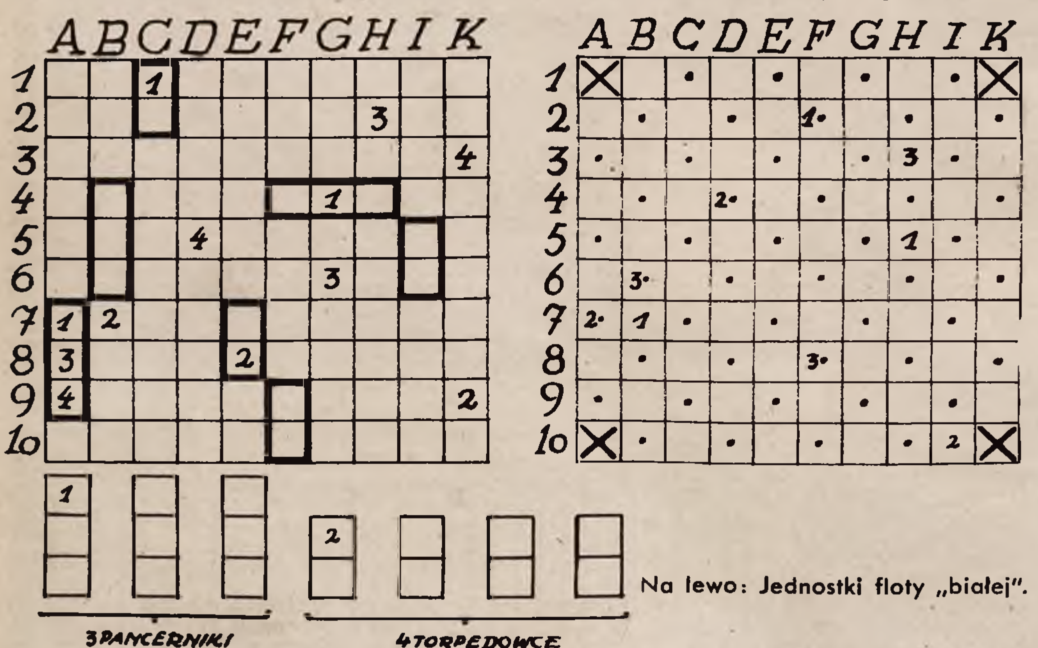


Na lewo: Jednostki floty „czarnej" (rysunek II).

RYSUNEK I. Na lewo tabelka z flotą „białą" — na prawo tabelka do wpisywania strzałów floty „białej".

DOWÓDZTWO FLOTY „CZARNEJ".

TABELKA PIERWSZA. TABELKA DRUGA (orjentacyjna).



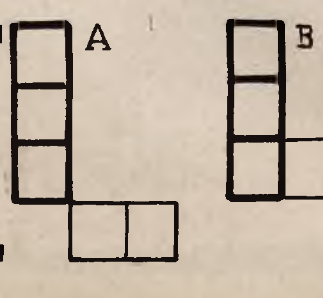
Na lewo: Jednostki floty „białej".

RYSUNEK IV. Na lewo tabelka z flotą „czarną" — na prawo tabelka do wpisywania strzałów floty „czarnej".

RYSUNEK III.

A: prawidłowe ustawienie jednostek floty.

B: nieprawidłowe ustawienie okręcików.



Gdy przed kilku dniami spotkałem się w kawiarni z jednym z mych dobrych znajomych, ten zanim zdążyłem wygodnie usiąść zadał mi znienacka takie pytanie:

— Czy gra pan w „okręciki"?

— Naturalnie, że gram! — odpowiedziałem bez zdziwienia, choć właściwie nie byłem całkiem pewny, o co mu chodzi. Ale w okresie „Dni Morza", gdy sprawy związane z „wielką wodą" i pływaniem po niej zaprzątywały umysły wielu, mogło to powiedzenie odnosić się dobrze do jakiejś oryginalnej formy zbiórki, np. na F. O. M.

— No to zagramy! — rzucił mój znajomy z widocznem zadowoleniem i zaraz zabrał się do rysowania jakichś kwadratów na papierze. Wówczas dopiero spostrzegłem mą omyłkę i poprosiłem o wyjaśnienia.

— Nie gra pan? ależ to nie do darowania! Ile pan stracił przez te dni, miesiące nawet, obywając się bez tej, chyba najmilszej, z gier towarzyskich! Zaraz ją panu wytłumaczę i potem zagramy.

— Otóż przedewszystkiem każdy rysuje dla siebie dwa kwadraty, podzielone na sto pól kwadratowych, które u góry oznacza się literami alfabetu, począwszy od strony lewej literą A, a z boku znowu liczbami, zaczynając od góry liczbą 1 aż do 10 (patrz rys. 1). Teraz biorący udział w grze obejmują komendy: jeden nad flotą białą, drugi nad flotą czarną. W ten sposób komenda floty białej ma do swej dyspozycji dwa swoje kwadraty, a komenda floty czarnej drugie dwa kwadraty, z których jeden nazywać będziemy tabelką pierwszą, a drugi tabelką drugą. Najlepiej wyrysować oba kwadraty na jednym kawałku papieru, przyczem wygodniej posługiwać się papierem odpowiednio linjowanym. Pod tabelkami każdy wrysowuje sobie jednostki floty przeciwnika w ilości: trzech pancerników o kształcie trzech kwadratów każdy i czterech torpedowców o kształcie dwóch kwadratów każdy (patrz rys. II).

— Zkolei jedna i druga komenda przystępuje do wrysowania (ustawienia) swej floty w tabelkę pierwszą, przyczem robi to w tajemnicy przed przeciwnikiem. Ustawienie jednostek floty może być dokonane tylko w ten sposób, aby poszczególne okręty, jeśli bezpośrednio ze sobą sąsiadują, stykały się wyłącznie końcami swych kwadratów (patrz rys. III). Wrysowywanie okręcików tak, aby ich kwadraty miały jeden z boków wspólny, jest niedopuszczalne. W tem miejscu musimy jeszcze zaznaczyć, iż pola w czterech rogach tabelki, a więc A:1, A:10, K:1 i K:10, przekreślone na rysunku znakiem X, nie biorą udziału w grze i w nich nie można wrysowywać jednostek floty. Ustawienie floty może być zupełnie dowolne z uwzględnieniem powyższych reguł, a więc można wrysować okręciki zarówno poziomo, jak i pionowo, blisko siebie, lub w pewnem oddaleniu.

— Gdy już ustawienie floty zostało przez przeciwników przeprowadzone, przystępują oni do losowania, kto pierwszy rozpocznie grę. Każdy z nich oddaje potem kolejno salwy, złożone z trzech strzałów, a robi to w ten sposób, że podaje przeciwnikowi to pole (kwadraciki w tabelce), na które skierowuje strzał. Najlepiej rzecz wytłumaczyć na konkretnym przykładzie. Ja obejmuję komendę nad flotą białą i posiadam tabelki umieszczone jako rysunek I., a pan znowu jest wodzem floty czarnej i dysponuje pan tabelkami na rysunki IV. Zaczynam ja strzelać i z pierwszej salwy oddaję jeden strzał na pole A:7, mówiąc do pana: Adam siódmy, drugi strzał na pole C:1 (Cezary pierwszy) i trzeci na pole G:4 (Gustaw czwarty). Równocześnie wpisuję na mojej drugiej tabelce (t. zw. orjentacyjnej) w te zapodane

Dokończenie na str. 31-ej

Jedziemy na fjordy!





Statek wycieczkowy na fjordzie Gudrangen.

Na prawo: Podróż morska w miłem towarzystwie pozostaje na długo w pamięci...



O tu mówić o logice! najładniejsza u nas pora roku, to lato i zaledwie lato nastanie już się rozglądamy, gdzieby to wyjechać!! Tak i ja zacząłem z zainteresowaniem przyglądać się różnokolorowym plakatom wycieczkowym. Ale przecież lato, to fjordy! I taki plakat się znalazł. Mignęły mi w wyobraźni nordyjczycy, niezachodzące słońce, szwedzki puncz, morze, lasy — jadę. I pojechałem.

Gdynia. Ruch jak zawsze, nierówne rzędy domów, tu gmach, tam pusto; centrum — Europa, przedmieście — zamilczmy. Za to port — chluba nasza: szeregi okrętów kołyszących się pod różnemi flagami, tam znów rzędy kranów w pełnym ruchu, to elewatory zboża, tam cudowne urządzenia przechylają i wyładowują odrazu całe wagony. Życie wre — przedsmak świata. Migają mi napisy na skrzyniach: Dairen, Suez i tyle innych, że resztki mej geografji niezawsze mogą je umiejscowić. — Odrywam się od tej mozaiki i udaję na punkt zborny mej wycieczki. Jakoś wszystko składnie idzie: sprawdzili znaleźli w porządku, tylko ze sprawami dewizowemi było trochę kłopotu, ale i to jakoś się załatwiło. — Pogryzam sobie banana „wprost z palmy" i spokojnie wchodzę na okręt. — Trochę mi się robi straszno: tyle ludzi! O! to nie tylko ja wiem o tem, że fjordy są interesujące! Pocieszam się zaraz myślą, że zato nie braknie mi towarzystwa. — Obok krzyk — jakaś panienka leży, jak długa (nieszczęście! poślizgnęła się na skórce pomarańczowej), podnoszę, pomagam zebrać pakunki — mój Boże, że też galanterja jest tak często proporcjonalną do urody! Odrywam wzrok od tłumu i patrzę: duża czarna ściana wzdłuż rzędy otworów. Ho! Ho! to duży ten mój statek. — Szkoda, żem go sobie z perspektywy nie oglądnął. Wchodzę, trzymam się barjerki, bo bestja kołysze się, a woda w porcie nie nadaje się — mimo ciepła — do kąpieli.

Oddaję się pod opiekę stewarda, który wskazuje mi moją kabinę. Będę jednym z 4. Hm! wolałbym mniej, bo w tych wypadkach mój instynkt towarzyski mnie zawodzi. Ale i nato mam sposób. Poprostu postaram się jak najmniej być w kajucie. Muszę przyznać, że dowództwo statku bardzo pasażerom ułatwiło niekorzystanie z kabin: z rana dancing na pokładzie, popołudniu i wieczorem w sali, w międzyczasie jedzenie, gry, zabawy, kino, koncerty, np. i dla amatorów basen do pływania. Rzeczywiście w pierwszych dniach nie wychodzi się z podziwu: urządzenie statku gustowne, sala jadalna wykwintna, miejsca dla małych i większych grup. Dancing przy muzyce, jakiejby się nie powstydził żaden „Savoy". Opieka nad pasażerami czujna i nienarzucająca się — jednem słowem raj na ziemi, zwłaszcza, że pogoda wciąż piękna. Morze to przecież wielka rzecz: mieniąca się woda, przestrzeń i kopuła nieba. Ale morze z pokładu ładnego statku, w miłem towarzystwie oglądane, to dopiero suma wrażeń, jakich się nie zapomina. Ciemna strona, to ogonki. Jak w najlepszych czasach wojny: ogonki do zmiany pieniędzy, ogonki po bilety na wydieczki itd. Bądź co bądź załatwić kilkaset osób, opanowanych jedną myślą, to nie żarty. Towarzystwo barwne i mieszane o skali dużej — bardzo dużej, co się odrazu zaczęło wyrażać w tworzeniu grupek i grup.

W trakcie jakiejś zabawy zelektryzował wszystkich okrzyk „O już widać Danję!". Szarą linją rysował się na horyzoncie kraj, jak z bajki. Kraj wzorowych gospodarstw, kraj dobrobytu, ładu i piękna. Dobrobytu — to wskazują statystyki (np. zużycie cukru na głowę ludności około 60 kg — w Polsce 10 kg) ładu, bo to jest kraj, o którym się prawie nie słyszy, w którym życie mądrze uregulowane, każdemu daje zadowolenie piękna, bo mimo płaskości krajobrazu chwyta za serce pieczołowitem wypielęgnowanem — istny ogród. — Te pola, wsie, miasteczka, drogi, o Boże! drogi — nie chcę o nich wogóle mówić. Do Kopenhagi wjeżdżamy cieśniną Sund, opływając wysepkę Amager, dostajemy się do Wolnego Portu. (Portów w Kopenhadze jest parę). Sama Kopenhaga założoną została w XII w., jako obrona przeciw napadom Słowian z Rugji i w ciągu wieków rozwinęła się na Wenecję Północy. — Kopenhaga znaczy „kupiecki port". Miasto z Thorwaldsenem, porcelaną, pałacami i piękną panoramą.

Rzucę choć parę obrazków. Pierwsze wrażenie, to czystość i przestrzenność, na ulicach ruch — ale jezdnią — trotuary prawie puste. Cóż to się stało? Po chwili mam rozwiązanie zagadki: wszyscy jeżdżą na rowerach. Zrobiło mi się smutno, bo przypomniałem sobie naszych włościan i robotników, piechotą codzień daleko wędrujących. Żeby tak u nas choć połowa była tych rowerów! Przed bankami, instytucjami, domami — całe masy rowerów. Ukraść? Wstyd wogóle o tem myśleć nawet! Jakież to piękne miasto. Zachwycałem się wodotryskami, nie omieszkałem zajść do Tivoli, tego Prateru Kopenhaskiego. Wstęp darmo, a rozkoszy cała masa, karuzele, kolejki takie i inne, knajpki, atrakcje, wszystko razem robi z Tivoli rendez-vous przyjezdnych i tubylców. Co za różnobarwny tłum!

W Kopenhadze uderzyły mnie m. in. wieże na kościele Zbawiciela i na Giełdzie, bo ich zaostrzony koniec uformowany jest w kształcie śruby — jakby się świdrem chciały wkręcić w niebo. Spotkała mnie też niespodzianka. Chcę sobie przejść przez most Knippelsbro, aż tu mnie zatrzymują, most pęka przez pół i obie połówki pojechały do góry, by przepuścić jakiś przejeżdżający okręt. Oczywiście poszedłem poflanować na ulubionej kopenhaskiej promenadzie wzdłuż morza, Langelinie. Zaczyna się potężną fontanną Gefion, ciągnie koło Yacht-Klubu, naprzeciw pomnika na cześć marynarzy, którzy zginęli na storpedowanych w wojnie duńskich statkach. Z rozczuleniem patrzę

na obok Langelinie, znajdującą się Syrenkę z bajki Andersena. Widok na cytadelę z XVII w. i miasto. Tak Langelinie zasługuje na to, by tu właśnie odbywać spacery. Zupełnie nie à propos przypominam sobie, że to w Kopenhadze, w jakiejś restauracji, jest portjer, który nie daje kontramarek, bo dzięki fenomenalnej pamięci, nie pomyli się nigdy, jaki płaszcz do kogo należy! Zwiedziłem muzeum Thorwaldsena, tego Greka z przełomu XVIII na XIX w. Przystanąłem przed Jazonem, za który dostał w Rzymie w 1796 r. złoty medal. Z przyjemnością oglądnąłem „nasze" pomniki Potockiego, Poniatowskiego i Kopernika.

Wszystko to zabrało dużo czasu, godzina odjazdu zbliża się, a tu nawet nie bardzo wiem, gdzie jest port. Od czegóż taksówki (i to jak eleganckie w kraju, który ma zresztą prawie tyle samochodów na 1000 ludności, co Anglja i Francja, a pozatem ma duże montownie General Motors i Forda): już jestem na okręcie, ale w ostatniej prawie chwili. Nie można się dziwić, że człowiek traci poczucie czasu.

Na Danję miałem 2 dni (licząc w tem powrotną drogę), mogłem więc zwiedzić jeszcze i trochę kraj, zamki królewskie Fredensborg i Frederiksborg, jedną z wzorowych farm z nowoczesnemi urządzeniami (sławnym jest przecież duński nabiał). Oglądałem zamek Hamleta Kronborg, z XVI w., z znajdującem się tam muzeum marynarki.

Wszystko ma swój koniec. Powrót na statek: już wzywają na kolację.

Statek, to wycinek z życia międzynarodowego — przynajmniej pod względem jedzenia: homary, owoce, obce papierosy — rzeczy u nas już nieznane lub na jubilerskiej wadze sprzedawane, tam są rzeczą naturalną codziennego użytku. Wspomnieć by trzeba i o gazetce pokładowej. Okrętowi radjoci łapią nowiny z całego świata, kapitan dodaje plotki z życia statku — całość okraszona dowcipami i żartami, daje przemiłą lekturę. Wogóle radjo! Na okręcie nie jest się już odciętym od świata, można nadać i otrzymać telegram. Mimo całego otrzaskania się naszego z tym benjaminkiem techniki, jednak ma się dziwne wrażenie, gdy wśród bezkresu mórz otrzymuje się blankiecik z wiadomością, że babcia zdrowa, lub że cyna w Londynie podskoczyła o 3 punkty.

Już zapowiadają Norwegję — nie przeszkadza to w dancingu, a daje i powód do wyjścia w towarzystwie (błogosławiona ta skórka pomarańczowa i jej skutki!) na pokład, by w ciemnościach nocy szukać świateł nieznanego kraju. Wprawdzie świateł Norwegji nie widać, ale robię niezwykle oryginalną uwagę, że oczy (jak czyje i jak kiedy) potrafią też lśnić w nocy. Potem pomagam sobie wierszem z tak starej operetki, że moja towarzyszka napewno jej nie zna:

Kobiety są jak gwiazdy
Najpiękniej w nocy lśnią...

W Norwegji przybiliśmy — m. in. — do największego portu rybackiego Bergen. Podjeżdżaliśmy pod miasto szacowne wiekiem i zabytkami, rozłożone panoramą tuż nad morzem. Zwiedziłem je z jego wąskiemi uliczkami, charakterystyczną architekturą i niezwykle ciekawem muzeum hanzeatyckiem.

Tu czas stanął. Wewnętrzne urządzenie, jak w średnich wiekach. Ciężkie drewniane meble, w drobnych szczegółach wszystko dokładnie zachowane, piece, okna, modele okrętów — dla amatorów kopalnia informacyj. Pokusą są piękne futra i inne wyroby — niebywale tanie, ale cóż, kiedy ograniczenia dewizowe, cło i inne izolacyjne urządzenia nie pozwalają nawet myśleć o tem.

Bardzo miłe mieliśmy spotkanie w porcie. Obok wypływał statek belgijski. Gdy zorjentowali się, że nasz statek jest polski, wszystko co żyło wyległo na pokład i zaczęto co sił wiwatować na naszą cześć: „Vive la Pologne!" grzmiało, aż echo szło po skałach.

Do pierwszego fjordu wjeżdżaliśmy w pełni słońca. Tego wrażenia nie zapomina się: morze, nie to nie morze, a szmaragdowa krystalicznie czysta tafla — po bokach prostopadłe ściany skał, wysokie na jakie 1000 metrów. Okręt zdaje się wkradać w zaczarowany kraj — całość robi wrażenie niezwykłej ciszy. Taki korytarz ciągnie się czasem i 200 km w głąb kraju, (nie zapominajmy, że Norwegja jest niewiele mniejszą, a Szwecja znacznie większą od Polski), wije się niespodziewanemi skrętami. Słońce zlekka ku zachodowi już, oświeca ostro i wywołuje silne kontrasty, tu jasna biel niedelwie, tu znów czarno. Na ścianach gdzieniegdzie zieloność, rysy z góry na dół i — może najcudniejsze — oko nie może z początku zorjentować się — jakby woal z gazy rzucony niedbałą ręką spada z wierzchołka do morza. To wodospad, ujście rzeki. — N. p. w fjordzie Hardanger wysoki na 163 m wodospad Vöringfos, a szerokość jego kilkadziesiąt metrów. I w czem leży piękno — to nie jest poprostu strumień wody, nie, to z pary sformowany ruchomy welon o zatartych konturach. Wodospady Mickiewicza słaba to minjatura — tu cała masa wody wali niepowstrzymanym pędem z skały na skałę, by w końcu dostać się do morza. Inny znów wodospad, cieniutka struga wody, spada, płynie po wysokiej ścianie — i on też dąży do morza. Taka srebrzysta struga na tle niedelwie czarnej skały, wygląda jak przebijająca się żyła metalu. — Zaczarowany to kraj — wyobraźnia musi pomóc, by opisać, co czuje się wobec ogromu i piękna natury. Głęboka zieleń, przepaściste skały, błękit nieba, tafla morza i te białe wodospady to temat godny japońskich mistrzów malarstwa. Nagle orjentuję się: przecież zwiedziłem sporo europejskich muzeów, a nie przypominam sobie obrazu z fjordem. Czy to strach przed tematem, czy tylko przeoczenie malarzy? Zato drzeworyty japońskie — ten czy ów, to jakby wycinek fjordu. Dla nich to tematy, dla artystów, co ukochali naturę i piękno!

Odknął mnie ruch na pokładzie — wysiadać! Kto chce odbyć wycieczkę samochodami (i niestety słono zapłacić), niech wysiada. Błyskawicznie zbieram się i ląduję. Czekają na nas nie jakieś rozklekotane omnibusy (O, Polsko, Ojczyzno moja!), ale śliczne osobowe wygodne samochody, które mają przewieźć — 400 osób. Świetna organizacja — wszystko odbywa się prędko i bez tarć. Już ruszamy śmiałemi serpentynami do góry. Pełne uznanie dla kierowców! Droga pięknie utrzymana, wzdłuż jezior wśród gór, tylko, że wąska, bardzo kręta. Niektóre serpentyny ligielkowe z tunelami. Już jestem na górze, patrzę w dół: sznur samochodów, jak chrząszcze pnące się do góry. Wyjechaliśmy na sam wierzch. Co za widok! Drugi brzeg tak wyraźny w czystem powietrzu, że zatraca się poczucie odległości. Morze fjordu zdaje się tuż. Ale gdzież mój ogromny statek? Po chwili orjentuję się, że ta maleńka łódeczka na dole to on i zrobiło mi się nieco nieprzyjemnie — więc jestem tak wysoko! Fjord jest taki ogromny! Jedna okazja więcej, by się przekonać, jak małym jest człowiek i jego przeżycia.

W trakcie wycieczki wpadliśmy na lunch do schroniska. Mój Boże, „schronisko", które może przyjąć i dać jeść 400 osobom naraz. Porcelana, nakrycia — niczego nie brak i to prędko. Już! to wszystko na wysokości jakich 1300 m. Zawarłem oczywiście znajomość z wiecznemi lodami. Jak moja towarzyszka słusznie zaznacza: „więc to nie tylko Włoskie Lody są na świecie?". Leżą takie płaty na górach, patrzy się i znów nie wierzę swoim oczom. To to ma być „wieczna martwota"? Przecież to gama kolorów: fjobudzi się chęć zostać malarzem. Ta nie tyllet, róż — to żyje i gra w blaskach słońca — ko południe, ale i zimna północ ma swój urok i wierzę już, że n. p. eskimos przeniesiony wśród palm usycha z tęsknoty za Grenlandją. Jazda pociągiem nie bardzo się udała, bo tory kolejowe chronione są parkanami od zasp śnieżnych, które oczywiście zasłaniają widok. Mignęło mi tylko gdzieś stadko reniferów — poczciwych towarzyszy w odludziach północy. Im dalej, tem zimniej, a tu futro daleko w domu leży spakowane. Nie pozostaje nic innego, jak grzać się wrażeniami!

Odwiedziłem jeszcze — obowiązkowo — „7 sióstr". Nie, to nie siedmioraczki norweskie, ale 7 wodospadów, zebranych w jednem miejscu — „Sehenswuerdigkeit" Norwegji. W międzyczasie „pstrykanie" aparatów — wiele się zużyje klisz podczas takiej wycieczki to wprost nieprawdopodobne, z każdego amatora robi się hurtownik. Opowiadano sobie o zapaleńcu, który 300 zdjęć przywiózł do domu.

Norwegja to też i kraj niespodzianek. Przypuszczałem, że na równi chyba z innemi, że to kraj całkowicie górzysty. Gdy popatrzyłem po wylądowaniu w głąb krajobrazu, zobaczyłem ze zdziwieniem równinę, półobrotu i już panorama górzysta. Norwegja to naogół równina górska o przeciętnem wzniesieniu 490 m (z licznemi lodowcami, a największy to Jostedalsbrae). Mają oczywiście i góry — najwyższa Glittertind — 2491 m.

Trasa statku prowadziła wzdłuż wybrzeża Norwegji. Taka masa fjordów, tak różnych wyglądem. Przejechałem ich dużo, nagle zorjentowałem się, że z tem słońcem coś nie w porządku. Noc czegoś taka krótka i to nawet nie z powodu dancingów. Wreszcie pewnego dnia skonstatowałem, że północ to nie północ, a wcale jasny dzień. Aha, tośmy znaczy już przejechali odpowiedni równoleżnik i tu rzeczywiście kwadryga Apolla już nie idzie spać, a Promienoluki przez całe 24 godzin pędzi swe rumaki po nieboskłonie!

Wśród wciąż nowych wrażeń Nordkap. Nawiasem: Nordkap jest w zimie, dzięki Golfstromowi, cieplejszy od, na drugim końcu Norwegji położonego, Oslo. Wysiadam i ręką pogłaskałem ziemię. Takie pogłaskanie po czubku głowy czasem działa kojąco na poirytowanych. Może i tej zhisteryzowanej staruszce Europie pomoże.

Niestety: Czas do domu czas...

Ryk syreny okrętowej i zaczęła się droga powrotna.

Mając już wolniejszą głowę, dopiero zorjentowałem się, co to jednak za ogrom taki statek, który dopiero jest karłem wobec Queen Mary lub Normandie. Umówić się z kimś i nie określić dokładnie miejsca, to się go wogóle nie znajdzie. Nie uważać, a zgubi się biedny pasażer tak dokładnie, że dopiero życzliwy „tubylec" doprowadzi go do celu — zupełnie jak w obcem mieście! A ta bajeczna czystość — zwiedziłem cały (a może tylko cząstkę) okręt. Wszędzie jak w pudełeczku — porządek, dyscyplina. Z tego co widziałem podczas mych pobytów za granicą muszę przyznać, że nasza marynarka, choć młoda, ale na wysokim stoi poziomie.

Że Norwegja to nie smutny kraj północy, można się nieraz przekonać. Naprzykład nad fjordem Sogne leży miejscowość Balholmy — norweska Riviera. Co tam za szyk! Hotele, tłumy publiczności, ożywienie, nowoczesne urządzenia. Wśród pięknej natury Norwedzy urządzili sobie kąpielisko, którego nie powstydziłaby się żadna plaża.

Na zakończenie jeszcze jeden obrazek. — W powrotnej drodze zajechaliśmy fjordem do miejscowości Geiranger. Padał deszcz — nagle robi się ładnie, deszcz ustaje, chmury przecierają się i — trudno powstrzymać okrzyk podziwu — oto poniżej rozpięła się nagle cudna tęcza, objęła fjord i czystemi kolorami odcina się od tła. Ponad nią — nie wyobrażam sobie coś bardziej nieprawdopodobnie uroczego.

Ostatni akord wycieczki, to obiad galowy i tradycyjny bal kapitański.

I takto skończyła się wycieczka — od początku do końca — jedno pasmo zabaw i przyjemnych wrażeń.

Jerzy Dołęga Lewandowski.

W PORCIE RYBACKIM...
Fot. Schostal

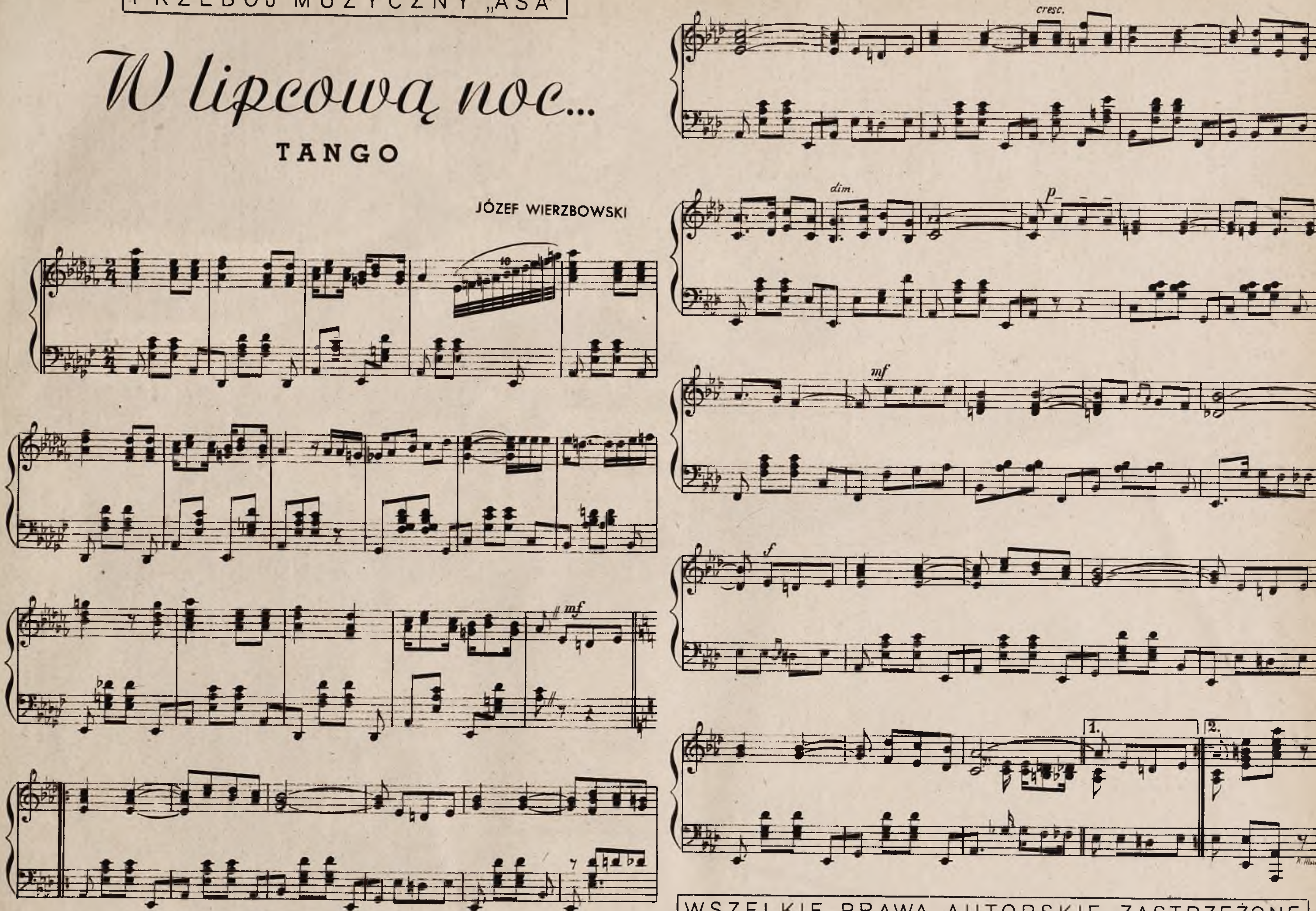


PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

W lipcową noc...

TANGO

JÓZEF WIERZBOWSKI



HELENA LIPKOWSKA

Druga symfonja

NOWELA

Na kominku zwęglone polano usuwa się z głuchym łoskotem, wznosząc słupy iskier. Czerwone blaski tańczą na wielkiem płótnie Chełmońskiego, wyłaniając z mroku różową wodę z sitowiem, która zdaje się kołysać.

Panna Celina zwraca oczy na obraz: jakże niesamowicie pięknym wydaje się jej w tem oświetleniu!

Oto po chwili krwawo płonie skrawek nieba, wyraźnie linja zarysowuje się na dalszym planie ciemną smugą lasu i wnet potem wszystko tonie w mroku.

Pannie Celinie ciemność ta wydaje się nie do zniesienia: chce, musi sycić wzrok widokiem tego, co ją otacza. Przekręca kontakt i z mlecznych kul w czterech rogach sufitu spływa jaskrawe światło na pokój.

Panna Celina przesłania na chwilę powiekami odwykłe od światła oczy, poczem oparta o poręcz fotelu patrzy na ulubioną swoją gablotę w stylu Jacob, kryjącą za szkłem prawdziwe skarby. Wzrok jej błądzi wolno po filiżankach z sewrskiej porcelany, pieści z lubością niebieską ich barwę, zatrzymuje, by przejść na różowe barwy grupy pasztuszków na zegarze z saskiej porcelany, wreszcie sięga do ostatniej półeczki, na której widnieje najświeższy nabytek: starowiedeński klosz z mitologicznemi postaciami na ciemnowiśniowem tle.

— Bardzo ładny — stwierdza z zadowoleniem — możnaby go umieścić tam, na mahoniowym stole okrągłym, wiśniową barwą pasowałby do adamaszkowego obicia foteli. No, to da się jeszcze widzieć, obecnie najważniejszą rzeczą jest zdobyć gobelin, za który ten stary antykwarjusz żąda tak wygórowanej ceny. Zawiesi się go na tamtej ścianie, a fotografje?

Wzrok panny Celiny zatrzymuje się na podobiźnie młodej dziewczyny w obcisłej sukni z koroną warkoczy, upiętych na czubku głowy, obok której widnieje portrecik staruszeczki o słodkim uśmiechu, ściągającym siecią zmarszczek jej twarz pod bielą czepeczka, a pod nimi dwie duże fotografje z przed piętnastu lat; młodej, hożej dziewczyny i szczupłej miłej kobiety w średnim wieku.

— Babunia, mama Lila... odzywa się dalekim echem w duszy panny Celiny, jak gdyby zdziwionej tem nagłem przypomnieniem.

— Czy to możliwe, że kiedyś stanowiły rację, treść jej bytu. Matka, towarzyszka życia przez blisko czterdzieści lat....

Panna Celina niecierpliwie porusza głową — ach nie myśleć o tem, nie wspominać.

— Fotografje przeniosę do stołowego pokoju — decyduje — krzyżując stopy, tonące w puszystym perskim dywanie.

Przegina się leniwie. — Nie pozwalać sobie na jałowe żale i niepotrzebne rozmyślania, bo życie jest piękne! Naprzykład ten samochód....

Panna Celina uśmiecha się. Bo i dlaczegóż miałaby sobie odmawiać tej gorąco upragnionej przyjemności.

Zapisze się na kursy kierowców i sama prowadzić będzie maszynę.

Berlin, Paryż, Rzym, Neapol... Przymyka oczy, czuje, jak prężą się muskuły jej ramion: silna jest, zdrowa pomimo niedalekiej pięćdziesiątki. Czasem tylko w nocy...

Ach, ale co tam, to tylko nerwy z nadmiaru rozkoszy — karci się surowo w myśli.

Tak, Wiedeń, Paryż, Rzym-

Panna Celina marzy... Od dwóch lat żyje jak w bajce i każdy dzień kryje nową niespodziankę. I ktoby to pomyślał, że te duże, ciężkie skrzynie, pełne rękopisów ciotecznego brata matki, wuja Kazimierza, kryją skarby?

Panna Celina wzruszona wzdycha. A jak się denerwowała, gdy po śmierci wuja matka, jako jedyny spadek po nim otrzymała te skrzynie i stojący w tamtym końcu pokoju wielki fortepian.

Splatając ręce, rzuca pełne nabożeństwa spojrzenie w stronę koncertowego Bechsteina. Ileż to razy fortepian chciała sprzedać, a skrzynie wraz z rękopisami nut spalić!

Napewno byłaby to uczyniła, gdyby nie matka. I oto naraz przed dwoma laty ten list z Ameryki... Sprzedaje dwie sonaty, zbiór etiud, operę „Grażyna" i odrazu, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej stała się kobietą zamożną. Przekreśliła czterdzieści osiem lat biedy, a trzydzieści — szarej, ciężkiej pracy urzędniczej i od tej pory poczuła się odrodzona.

A jak mądrze zrobiła, nie zgadzając się odrazu na propozycję amerykańskiego wydawcy sprzedania mu dzieł wuja w całości. miała węch! Uśmiech rozchyla usta panny Celiny, oczy błyszczą.

Teraz każda opera wydobyta z głębin skrzyni — to złote runo, każde preludium to nowy garnitur mebli, obraz, czy serwis.. O tak, niczego sobie nie odmawia, a w banku ma rezerwę.

— Proszę pani, list.

Panna Celina, wyrwana z marzeń, nie rozumiejąc jeszcze dobrze co do niej mówią, zwraca pytający wzrok na Marysię. Jak z bajki — myśli, lubując się powiewnością czepeczka i bielą fartuszka dziewczyny — tak jak dawniej wyobrażała sobie jedynie służące z bogatych domów, czytując powieści.

— List, proszę pani — powtarza Marysia.

Panna Celina niechętnie rozrywa kopertę, a w miarę jak czyta, chmura osiada na jej czole

Skończyła. Z arkusikiem zmiętym w dłoni, siedzi, marszcząc brwi. Lecz niedługo się namyśla: już po chwili podnosi się z fotela, wyprostowuje swą dorodną jeszcze postać i podąża w kierunku biurka. Wyjmuje z pudełka papier i kopertę, macza pióro w kałamarzu, lecz po chwili odkłada je, wygładza otrzymany przed chwilą, zmięty arkusik i czyta:

„Kochana Ciociu!

Jakże nieudolna jest mowa ludzka w chwili, gdy pragniemy wypowiedzieć najistotniejsze uczucia, wiernie oddać myśli nasze... Ciociu, potrafię powiedzieć jedynie, że ból i wstyd targają mnie naprzemian, gdy pomyślę, że czytając ten list, Ciocia może mnie źle zrozumieć, posądzić o chęć wyzyskania sytuacji. Ale proszę mi wierzyć, że tylko ostateczna rozpacz, niemożebność znalezienia innego wyjścia, skłoniły mnie do skreślenia tych słów.

W ciągu ostatnich trzech lat pozostawałam bez pracy, a jednak musiałam jeść, by żyć. Trzeba było myśleć o kształceniu syna i dać możność istnienia choremu ojcu! Długi, które zaciągnęłam w tym okresie ciążą mi strasznie, a przecie miałabym możność spłacenia ich, mogłabym odetchnąć swobodnie, gdyby Kochana Ciocia zechciała mi dopomóc: proponują mi zarząd pensjonatu na korzystnych warunkach, o ile złożę kaucję tysiąca złotych...".

Panna Celina nie kończy listu, mnie znowu w ręku arkusik. Na gładkich jej jeszcze policzkach wykwitły rumieńce oburzenia.

— Że też ta Janka ma czoło mnie prosić — przecież matka jej to dla mnie jakaś dziesiąta woda po kisielu, a ją samą widziałam raz, gdy miała sześć, czy siedem lat. I to tak nieledwie, że codzień jakiś list z prośbą o pożyczkę, telefon o wsparcie, wizyta w sprawie ofiar na cele dobroczynne...

Panna Celina zastanawia się. — No, tak, cele dobroczynne! Pod tym względem nie ma sobie nic do zarzucenia: robi akurat tyle, ile nakazuje sumienie każdej dobrej chrześcijanki. Ruchem zdecydowanym macza znów pióro: tym razem pisze:

Kochana Janko!

Ponieważ nie mam czasu na pisanie długich epistoł, odpowiem Ci w kilku słowach.

Nie wiem naprawdę, dlaczego rodzina — i to dalsza, bo z bliskich nikt mi nie pozostał, uważa mnie za Fundusz Bezrobocia, Kasę Chorych, Biuro Pogrzebowe i t. d.

Niema fortuny, która potrafiłaby zaspokoić apetyty tych wszystkich, którzy się do mnie zwracają.

Ja w ciągu trzydziestu lat pracy do nikogo o pomoc nie zwracałam się i jakoś dawałam sobie radę — sądzę, że i Ty również, jeśli zadasz sobie trochę trudu, to poszukasz i znajdziesz wreszcie posadę. Zresztą zaciąganie nowych pożyczek nie jest środkiem wybrnięcia z długów...

— Proszę pani.

Panna Celina marszczy gniewnie brwi, odwraca się gwałtownie na krześle.

— Czego chcesz?

— Chciałam tylko pani powiedzieć, że za dziesięć minut przez radjo będą mówili o tym wuju pani — mówi nieśmiało Marysia, zapalona radjotka.

— O jakim wuju?

— O tym sławnym muzyku, Kazimierzu Nawrockim.

— A cóż to ciebie obchodzić może? — rzuca burkliwie panna Celina.

— Ja nic, ja tylko myślałam... — bąka, wycofując się z pokoju Marysia. Ale panna Celina odkłada pióro, wstaje, podchodzi do głośnika, wkłada zatyczkę do kontaktu i powróciwszy na dawne miejsce przed kominkiem, siada w fotelu.

Czeka. Irytacja spowodowana listem siostrzenicy wzrasta.

— Dzięki tej głupiej Jance, omal nie zapomniałam o dzisiejszej audycji — tego tylko brakowało!

Po chwili słyszy prelegenta, wygłaszającego pogadankę o hodowli srebrnych lisów w Polsce, a gdy skończył, po paru sekundach rozlega się głos speakera: „Za chwilę rozpocznie się dziesiąta z rzędu audycja z cyklu „Sylwetki naszych kompozytorów", tym razem poświęcona twórczości znakomitego naszego kompozytora Kazimierza Nawrockiego. Słowo wstępne wygłosi...".

— Ciekawam, jakie też było życie wuja — myśli panna Celina, stwierdzając ze zdziwieniem, że właściwie nic o nim, z wyjątkiem kilku skąpych szczegółów, słyszanych kiedyś od matki, nie wie.

Słyszała, że wuj jako młody bardzo człowiek skończył w kraju konserwatorjum, potem kształcił się zagranicą i ożeniwszy się, osiedlił się tam na stałe, utrzymywał się z lekcyj muzyki, klepał biedę, wreszcie umarł, zapisując siostrze ciotecznej, a matce Celiny, wszystkie manuskrypty swych utworów muzycznych.

Panna Celina czytuje od czasu do czasu w Krytyce entuzjastyczne artykuły poświęcone twórczości Kazimierza Nawrockiego, ale kim był, co czuł i myślał ten człowiek, któremu zawdzięcza dzisiejszy dobrobyt i szczęście — nie ma pojęcia.

„Kazimierz Nawrocki — słyszy głos speaker'a — urodził się w 1857 r. na dalekiej wsi podolskiej w Berezówce pod Kamieńcem. — Śmierć ukochanych rodziców, których stracił będąc małem jeszcze chłopięciem, legła wiecznym cieniem na jego duszy, przepajając melancholją większość jego utworów.

Wkrótce potem konfiskata majątku za udział ojca w powstaniu wyrzuca go na bruk wielkiego miasta...

Tak, teraz panna Celina przypomina sobie opowiadania matki, odnoszące się do tej właśnie epoki, kiedy to jako trzynastoletnia dziewczynką oddana przez rodziców na pensję, spotykała się w mieście z piętnastoletnim Kaziem Nawrockim w domu wspólnych krewnych i zaprzyjaźniła się z nim serdecznie. Młody chłopak odznaczał się podobno nadzwyczajną wrażliwocią i wolał obcować w towarzystwie kuzynki, niż chłopców, którzy rzadko go rozumieli, a zato często wyśmiewali subtelność jego i ranili ją. Matka, pomimo, że potem nigdy już go nie spotykała, zachowała o nim jakieś rzewne wspomnienie, a i z nim musiało być tak samo, skoro jej, a nie najbliższym krewnym zapisał co miał najdroższego — swoje utwory.

Panna Celina odrywa się od tych rozmyślań, by skupić uwagę na słowach speaker'a.

„W tej chwili szczęśliwymi czuć się możemy — słyszy — mając to przeświadczenie, że przysłowie „nikt nie jest prorokiem w swoim kraju", nie da się zastosować do nas. Wielki ten człowiek mieszkał stale zagranicą, początkowo w Lipsku i Monachjum, potem już do końca życia w Paryżu. Nie przez nas więc zapoznana była jego genjalna twórczość, nie myśmy grzech ten w stosunku do niego popełnili, lecz cudzoziemcy. Kto wie, być może tęskniąc do Polski na dalekiej obczyźnie, Nawrocki niejednokrotnie zadawał sobie pytanie, czy nie popełnił błędu, wyjeżdżając zagranicę? Może w kraju znalazłby zrozumienie.

Pomimo, że zapoznany, wielki ten kompozytor odznaczał się jednakże niezmąconą pogodą ducha, za co gorąco był miłowany przez uczniów swoich. Nielicznych niestety miał wielki mistrz uczniów. Nawrocki, wybitny indywidualista, twórczością swą wyprzedzający współczesnych sobie muzyków o pół wieku przynajmniej, przyswoił swoistą metodę, z którą ówcześni profesorowie muzyki pogodzić się nie mogli.

Dzięki wydanym niedawno pamiętnikom jednego z uczni jego, Karola Higiera, dowiadujemy się ciekawych szczegółów o życiu tego wielkiego człowieka. Oto co pisze Higier:

„Wkrótce po przyjeździe Nawrockiego do Monachjum, gdzie był dyrygentem orkiestry operowej, namówiliśmy go do zaprodukowania publicznie dziś tak słynnej jego 2-ej Symfonji. Rozwinęliśmy energiczną akcję, by bilety na koncert ten, mający się odbyć w sali konserwatorjum, rozsprzedać i kiedy przyszliśmy sala była prawie wypełniona.

Pierwsza część koncertu poświęcona utworom Bacha i Mozarta minęła normalnie, oklaskiwano nawet dość gorąco Nawrockiego, który był zresztą świetnym dyrygentem. Publiczność oczekiwała z zainteresowaniem zapowiedzianej w drugiej części programu symfonji.

Po przerwie, w pokoju dla artystów, otoczyliśmy mistrza naszego, dodając mu odwagi, gdyż wiedzieliśmy, jak bardzo, jak chorobliwie wprost był przeczulonym, wrażliwym.

Gdy z podniesioną pałeczką, bardzo blady, stanął przed orkiestrą — otoczyliśmy ciasną gromadką estradę. Już podczas andante instynktownie odczułem jakiś nieprzyjemny, niepokojący prąd, płynący za nojemi plecami od publiczności. Rozlegające się podczas largo ledwie dosłyszalne szepty i poruszenia wzmogły moje zdenerwowanie. Szmer rósł, nie było to niestety z mej strony złudzeniem. Od tej chwili byłem jak nieprzytomny i kiedy po skończonem allegro rozległy się tupania i gwizdy, zacisnąłem nerwowo pięściami uszy, powtarzając w duszy z zamkniętemi oczami — Boże, Boże, co z nim będzie? — Kiedy otworzyłem oczy — estrada była pusta. Jak nieprzytomny rzuciłem się do pokoju artystów. Nawrocki śmiertelnie blady, z dziwnie żałosnym uśmiechem, stał pośród swoich uczni, tłumacząc im, że spodziewał się tego i prosił ich, by się tak nie przejmowali, ale, gdy zobaczył mnie, swego ucznia ulubionego, coś w twarzy jego zadrgało i jak szalony wybiegł na ulicę jak stał pomimo, że to była zima: bez palta, bez kapelusza.

Od tej pory nigdy nie kusił się o występy publiczne — wieczór ten zaważył na jego wrażliwej duszy na całe życie. Nigdy nie dał się namówić do wydania swych utworów, a gdyśmy nalegali, unosił się i prosił, by mu dano spokój.

Po wielu latach odwiedziłem go w Paryżu. Zajmował dwa pokoiki na poddaszu nędznego domku w Neuilly. Już na schodach dobiegły mnie dźwięki fortepianu, płynące, jak to odrazu moje wprawne ucho poznało, z pod jego niezrównanych palców. Grał swoją etiudę b-mol. Nie chcąc psuć czaru tej przedziwnej muzyki, stanąłem wstrzymując oddech przed zamkniętemi drzwiami i dopiero kiedy skończył, zapukałem lekko.

Stanął przede mną, zawsze ten sam — wysoki, szczupły, młodzieńczy pomimo siwizną przyprószonych włosów, a wyraz niepokoju, jaki mnie uderzył na jego wychudzonej twarzy, zmienił się na widok mój w uśmiech promienny.

— Tak się przestraszyłem — rzekł — myślałem, że to Ivonne.

Patrzyłem na niego zdziwiony.

— Ożeniłem się — tłumaczył z zażenowanym uśmiechem, zapinając kołnierz zniszczonego szlafroka i prowadząc mnie w głąb mieszkania, — a że Ivonne twierdzi, że dzisiaj muzyka moja rozstraja jej nerwy, skorzystałem z jej nieobecności, by zagrać to, co mi spać nie daje w ciągu ostatnich trzech nocy.

— Jakto, więc grywasz teraz tak rzadko?

— Ach, nie, tylko korzystam najczęściej z fortepianu kolegi mego biurowego.

— Kolegi biurowego? Pracujesz w biurze? — zawołałem zdumiony.

— Cóż chcesz, kochany — mówił z żałosnym uśmiechem. — Ivonne choruje, każdą zimę musi spędzić na południu, a ja swemi lekcjami zarabiam tak mało.

Nie zadawałem mu więcej pytań. Po chwili zaprowadził mnie do drugiego pokoju i otworzywszy szufladę komody, kolejno wyrzucał z niej rękopisy nut, aż utworzył się stos cały. Spojrzał na mnie z boku z napoły szczęśliwym, napoły filuternym uśmiechem.

— Człowieku — zawołałem, ty to wszystko stworzyłeś? Kiedy to wydasz?

Nawrocki potrząsnął głową.

— Nigdy — poco? Czy mi nie wystarcza to, że wypowiedziałem wszystko co czuję, myślę, że miałem możność dać wyraz temu, co kocham? Zresztą, dodał, wkładając z powrotem nuty do szuflady — niech sobie tu spoczywają, może jeszcze kiedyś w dalekiej przyszłości, gdy mnie już nie będzie, staną się sławnym, a przez to rozsławię imię Polski.

Potem widziałem go jeszcze raz tylko, jako znękanego życiem, chorego starca, kiedy choroba serca pozwalała mu jedynie trwać w siedzącej postawie dzień i noc w fotelu.

A pomimo to, gdy mu fotel przysuwano do fortepianu i gdy palce jego spoczywały na klawiszach, zdawał się znowu odzyskiwać siły. Twórczość Nawrockiego...".

Ale panna Celina już nie słucha: szeroko otwarte oczy utkwiła w koncertowym Bechsteinie, przy kórym zdaje się jej widzieć wysoką postać. Siwa głowa pochyla się nad klawjaturą, na której spoczęły szlachetne wydłużone palce. Prelegent umilkł.

W pokoju rozlegają się tony 2-giej Symfonji.

Panna Celina oczu od Bechsteina oderwać nie może. Otwierają się przed nią nieznane jej dotychczas obce głębie, do których ją ciągnie dziwnie jakaś siła. Opiera się jeszcze, boi, walczy, ale wie, że opór na nic się nie przyda i po chwili poddaje się z jakąś niebywałą dotąd u niej pokorą. Czuje zarazem ulgę i błogość, jak niewidomy, któremu zdjęto bielmo z oczu, i który uwierzyć nie może jeszcze w łaskę doznanego cudu.

Z nieśmiałością, ale już podąża za tym, który prowadzi ją w cudowną krainę miłości i piękna, a po chwili oswojona już nieco daje się nieść opiekuńczym skrzydłom.

Pokój zaległa cisza, w którą jak ostry zgrzyt wpada głos speakera — „za chwilę wygłosi pogadankę...".

Panna Celina przeciera oczy, podnosi się z fotela i stoi niezdecydowana. Czuje, że coś zrobić musi, że czeka ją nowe zadanie, ale jakie?

Rozgląda się wokoło. Wzrok jej pada na zapisany na biurku arkusz.

Panna Celina uśmiecha się.

Szybko podchodzi do biurka i ruchem zdecydowanym rwie niedokończony list. Powoli otwiera szufladkę, wyjmuje przekaz pieniężny, wypisuje na nim cyfrę 2.000 i kreśli adres Janki.



W kombinacjach sportowych nosi się dziś z reguły do jaśniejszych spodni tylko koszulki lub swetry w ciemniejszych kolorach...

ŁAMIGŁÓWKI MODY MĘSKIEJ

★

Ubrania kombinowane



Niejeden po przeczytaniu tytułu pomyśli zapewne: Znowu ubrania kombinowane? Przecież już była nieraz o nich mowa! — Tak, to prawda. Nie dalej, jak w poprzednim numerze „Asa", pisząc o ubraniach, które należy zabrać ze sobą na wakacje, wspomniałem o kombinacjach jako o klasycznym stroju mężczyzn w okresie letnim nad morzem, w górach i na wsi. Przy tej okazji nie mogłem jeszcze podzielić się z Czytelnikami „Łamigłówek" wiadomością, że w obecnym sezonie modnym jest przedewszystkiem kolor granatowy, który nosi się w następujących zestawieniach:

Do spodni granatowych tylko jaśniejsza marynarka, zwykle popielata lub piaskowa Wówczas spodnie kroi się z flaneli lub kortu, a marynarkę obecnie coraz częściej z t. zw. wełno-lnu. Do spodni w jaśniejszych odcieniach (białych, jasno-kremowych i perłowych) z zasady nosić można tylko granatowe koszulki polo lub w tym kolorze utrzymane swetry. Jako wyjątek uchodzi tu blazer, jedyna marynarka dopuszczona do kombinacji odwrotnej, a więc takiej, w której góra ciemniejsza jest od spodni. Blazery spotyka się najczęściej w jednostajnym kolorze granatowym, niebieskim lub czerwonym. Istnieją też takie, które ozdabia wzór w kilku kolorach, ale noszą je tylko członkowie klubów i wówczas barwy są ściśle określone statutem danej organizacji sportowej (zwykle tenisowej). W drugim rodzaju kombinacji spodnie bywają z płótna lub flaneli, a koszulki z przewiewnej tkaniny bawełnianej lub wełnianej. Blazery kroi się przeważnie tylko z flaneli.

Prócz tych wiadomości zasługują na podkreślenie również i pewne reguły, które w międzyczasie wytworzyły się dla ubrań kombinowanych. I tak buciki muszą tu posiadać charakter wybitnie sportowy, choć np. marynarka prócz rozcięć w bocznych szwach nie wykazuje żadnego innego akcentu sportowego. To samo odnosi się do kapelusza. Niedopuszczalnem jest noszenie do kombinacyj sztywnych kołnierzyków np. białych do kolorowych koszul, co ostatnio znowu wchodzi w modę, ale tylko do jednostajnych ubrań marynarkowych, noszonych w mieście. Kombinacja, która ma nam zastąpić dawne, jednostajne ubranie sportowe, jest par excellence kreacją sportową i jako taka wymaga też uzupełnień o analogicznym charakterze. A o tem jednak wielu nie chce pamiętać.

Na lewo: Wyjątkiem od powyżej przytoczonej zasady jest blazer, jedyna marynarka, którą w ciemniejszym kolorze nosi się do jasnych spodni.



Na prawo: Oto jak powinien wyglądać klasyczny model kombinowanego ubrania: ciemne spodnie i jasna marynarka.



1

X

Należy wystrzegać się zmarszczek!

Także często słyszy się narzekania pań, iż ich nadzwyczajnie delikatna cera jest przyczyną powstających przedwcześnie zmarszczek, fałdów pod oczyma itd. Nie mają te panie racji. Każda cera jest delikatna i wrażliwa i każdą przy odpowiedniej pielęgnacji można ustrzec przed powstawaniem zmarszczek. Skóra na twarzy reaguje najszybciej na wszystkie ujemne wpływy, choroby, czy zmiany usposobienia. Słusznie powiadają, że skóra jest barometrem zdrowia. Chcąc szczycić się ładną cerą, trzeba przedewszystkiem dbać o zdrowie, prowadzić higjeniczny tryb życia, spać 7—8 godzin na dobę, wstawać o jednej i tej samej porze, odżywiać się zgodnie z nakazami djetetyki, gryźć dobrze potrawy, unikać potraw ciężko strawnych i silnie przyprawianych korzeniami, dbać o dobre trawienie i przebywać o ile można najwięcej na świeżem powietrzu.

Poza tem wszystkiem należy poświęcić naszej pięknej cerze specjalne starania codzienne, równie ważne jak utrzymywanie ciała w nienagannej czystości. Każdego wieczora zmyć starannie skórę twarzy przy pomocy łagodnego tłuszczu, który usunie ślady pudru, pyłu, potu i wszelkich zanieczyszczeń, zatykających pory skóry. Rano pociągnąć twarz również cieniutką warstewką tłustego kremu, aby tym sposobem chronić skórę przed ujemnemi wpływami.

Przebywając na świeżem powietrzu, pozostawać raz na kilka dni bez maquellage'u, aby skóra wypoczęła od wszelkich zabiegów. Latem można też przeprowadzać skuteczne dla cery kuracje mleczne, polegające na codziennem piciu mleka oraz zmywaniu niem twarzy. Po wieczornem przemyciu twarzy mlekiem, nie wyciera się skóry, lecz pozostawia mleko do wyschnięcia.

Także i świeże ogórki dostarczają latem doskonałego środka kosmetycznego. Pokrajanym w plasterki ogórkiem naciera się twarz, aby nasiąknęła dobrze sokiem ogórkowym. Trzeba tylko uważać, aby z nawilgoconą sokiem ogórkowym twarzą nie znaleźć się na słońcu lub na przeciągu.

Przebywając nad morzem trzeba o ile możności wystrzegać się silniejszych wiatrów, które niosą z sobą drobniutkie cząsteczki piasku, wbijające się w skórę i raniące ją poprostu swą ostrością. Jako antidotum stosuje się częste zmywanie twarzy słodką wodą i mydłem. Najlepiej nie wycierać później skóry ręcznikiem, lecz osuszać ją tamponami z waty.

Aby zapobiegać tworzeniu się zmarszczek koło ust i nosa trzeba stosować natłuszczanie tych miejsc zwłaszcza przed udaniem się na spoczynek, usuwając tłuszcz przed zaśnięciem, gdyż zbyt długie działanie nie byłoby również korzystne.

Upały powodują zwiększoną działalność gruczołów potnych. Ich wydzielczość nie może być regulowana środkami zewnętrznemi, a skutki bywają niejednokrotnie bardzo przykre, bo zwiększają np skłonność nosa do czerwienienia się. I temu można przeciwdziałać, zmywając codziennie nos przed udaniem się na spoczynek przy pomocy maślanki.

Tak w zakres kosmetyków wchodzą latem licznie domowe środki, których znaczenie coraz silniej potwierdza nowoczesna kosmetyka, chętnie się niemi posługując i uzyskując doskonałe rezultaty.

Elwira.

1 Oto jak należy natłuszczać zmarszczki koło ust.	**2** Tłuszcz zapobiega tworzeniu się zmarszczek koło oczu.	**3** Czerwoność nosa zwalcza się używając maślanki.

Poniżej: Przypudrowanie twarzy kończy poranne zabiegi kosmetyczne.



2



3



POKAZ MODY W SIM'IE.



W kawiarni SIM w Warszawie odbył się pokaz modeli, wykonanych przez warszawskie domy mody, a nagrodzonych na międzynarodowej wystawie rzemiosł w Berlinie. Na zdjęciu: Fragment pokazu — modele demonstrują pp. S. i J. Krupińskie, H Sierakiewiczówna i H. Tyborowska.

BALET OSTROWSKIEGO WYJEŻDŻA NA TOURNEE.



Zespół taneczny Konrada Ostrowskiego. b. baletmistrza Opery poznańskiej, który od szeregu tygodni występuje z dużem powodzeniem w warszawskim teatrze operetkowym „8.15", wyrusza wkrótce na dłuższe tournée zagranicę. Fot. Forbert — Warszawa.

TAMARA PASŁAWSKA W TEATRZE NARODOWYM



Na lewo:

Na tegorocznym popisie absolwentek i absolwentów Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej w Warszawie wyróżniła się talentem i niepospolitą urodą p. Tamara Pasławska, pochodząca z kresów wschodnich. Czarująca szczerym liryzmem w wymarzonej dla siebie roli Barbary w „Zygmuncie Auguście" Wyspiańskiego, podbiła całą widownię i została też zaraz zaangażowana na pierwszą scenę Polski. Teatr Narodowy zyskał artystkę, predestynowaną do odtwarzania ról wielkiego repertuaru. Na zdjęciu: Tamara Pasławska. Fot. H. Zalewska.

JUBILEUSZ DYREKTORA WŁAD. STOMY

Na prawo:

Z końcem ubiegłego tygodnia odbyła się w Bydgoszczy uroczystość jubileuszowa 30-lecia pracy scenicznej i 11-lecia kierownictwa Teatru Miejskiego w Bydgoszczy, p. Władysława Stomy, który z dniem 1 września br. obejmuje dyrekcję Teatru Polskiego w Poznaniu. P. dyr. Stoma, któremu teatr bydgoski zawdzięcza w dużej mierze poczesne swe miejsce w hierarchji teatrów w Polsce, pożegnał się z publicznością bydgoską popisową swą rolą w „Spadkobiercy" Grzymały Siedleckiego. Na zdjęciu: Dyr. Stoma w „Pieśni nad pieśniami" Wiszniowskiego.



GOŚCINNE WYSTĘPY KAZIM. SZUBERTA



Na lewo:

W pierwszych dniach lipca rozpoczyna na deskach Teatru Letniego w Warszawie gościnne występy p. Kazimierz Szubert w zabawnej farsie M. Hennequin'a „On i jego sobowtór", która cieszyła się i w krakowskim teatrze dużem powodzeniem, zaadaptowana na scenę i wyreżyserowana przez p. Szuberta. Spektakle warszawskie idą również pod reżyserją tego wytrawnego artysty, którego każdy krok na scenie nacechowany jest wielką kulturą teatralną.

PIEŚNIARKA KRAKOWSKIEJ RADJOSTACJI

Na prawo:

Występująca od dłuższego czasu przed mikrofonem radjostacji krakowskiej p. Irena Orska zjednała sobie rzesze wielbicieli wśród radjosłuchaczy miłym głosem, którym posługuje się na wzór amerykański z pełnym artyzmu i wysokiej techniki umiarem. — P. Orska jest też autorką niektórych przez siebie wykonywanych piosenek, oraz pełną temperamentu wykonawczynią ról komedjowych i dramatycznych w słuchowiskach radjowych. Na zdjęciu: Irena Orska.



To jedno maleńkie „ale"...

Czy istnieje kobieta doskonała? Optymiści mówią, że tak... Więcej jednak pod tym względem jest pesymistów. Może Czytelniczki nasze rozstrzygną te zagadnienia na podstawie poniżej przytoczonych przykładów na różne „ale", które mącą ewentualną doskonałość. Przykłady te, być może, dopomogą także do osiągnięcia owej doskonałości, gdy panie nasze wystrzegać się będą, by nie mówiono o nich: Ona jest czarująca, „ale"...



Marysia jest czarująca, ale...

jednakowo odnosi się do wszystkich ludzi, zarówno do kobiet jak i do mężczyzn, tak do starych jak i młodych. W rezultacie nikt nie wierzy w szczerość jej uczuć, gdy widzi, że jednakowe uczucia okazuje wszystkim. A przecież pani winna wprowadzać różnice i odcienie w stosunku do poszczególnych osób i nie powinna do wszystkich odnosić się z jednakim entuzjazmem i serdecznością. Nikt też nie będzie się silił na zdobycie specjalnego dla siebie uczucia u pani, okazującej bez żadnego starania z niczyjej strony jednakie względy każdemu pierwszemu lepszemu. Wielką sztuką jest umiejętność każdorazowej „zmiany frontu", zależnie od osoby, z którą mamy właśnie do czynienia. Ta różnorodność daje pole do ukazania inteligencji i czaru.





Zosia jest czarująca, ale...

czytała właśnie najnowszą książkę i tylko o niej mówi. Była na ostatniej premjerze w teatrze czy w kinie, na ostatnim wernisażu i tylko na te tematy prowadzi rozmowę. A przecież nie wszyscy czytali tę nowość, czy byli na tej sztuce, a tematów do miłej rozmowy jest bardzo wiele i niekoniecznie muszą się one ograniczać do zagadnień literacko - artystycznych. Należy też w rozmowie wykrzesać coś z siebie samej, z własnych myśli i indywidualnie powziętych idei, a nie tylko powtarzać cudze ujęcia i płynąć na fali cudzych wrażeń i doświadczeń. Podobne prowadzenie rozmów, jak to czyni pani Zofja, jest ponadto jednym z klasycznych sprawdzianów snobizmu. A czyż są osoby, które, będąc nawet same „snobami", lubią tę wadę u drugich?



Jula jest czarująca, ale...

ustawicznie się śmieje. Wszystko nastraja ją na wesoło i nie można z nią poważnie rozmawiać. Wskutek tego nastawienia czy przyzwyczajenia, uważają ją za płytką, chociaż taką nie jest. Nikt nie porusza z nią poważnych tematów, czy to ogólnych czy osobistych, w obawie, że w odpowiedzi otrzyma śmiech czy uśmiech stereotypowy i zdawkowy. A przecież naczelną koniecznością, jeśli się chce być naprawdę miłą, jest nie być zawsze jednakową — ani zawsze smutną, ani zawsze wesołą. Poeci i psycholodzy stawiają kobiecie za przykład naturę. To, co nam każe zachwycać się naturą, polega właśnie na jej różnorodności.







Krysia jest czarująca, ale...

krytykuje wszystkie gwiazdy filmowe, uważa, że wszystkie są stare i brzydkie, że źle grają. Tak samo wyraża się o wszystkich aktorkach scenicznych, tak samo o wszystkich znanych kobietach. W konsekwencji uważają ją za zazdrosną i próżną. Może tak nie jest, lecz taki pogląd się narzuca, gdy się słyszy w permanencji krytykę wszystkich znanych kobiet. A przecież przez poniżanie drugiego nie osiąga się wcale swojego wywyższenia. Lojalność wobec innych kobiet jest zasadniczą cechą, konieczną dla doskonałej pani. Właśnie przez chwalenie drugich, przez podkreślanie uroku innej kobiety podkreśla się zalety i wdzięk własny!



...jest czarująca, ale...



mierzy z góry wszystkie inne kobiety i w rezultacie uważają ją tak, jak i Krysię, za próżną i zazdrosną, a w dodatku niema ona przyjaciółek. Jest osamotniona w towarzystwie, mężczyźni bowiem także nie lubią słuchać ustawicznie krytyk pod adresem innych kobiet i widzieć spojrzenia Ireny mierzącej z góry na dół wszystkie postacie kobiece. Nigdy też niewiadomo, czy właśnie jedna z tych postaci nie jest ukochaniem lub marzeniem mężczyzny, z którym właśnie Irena rozmawia. Czarująca kobieta powinna odnosić się uprzejmie do innych kobiet i zyskuje tylko na tem, jeżeli zdaje się dostrzegać w towarzyszkach zalety a nie wady, raczej urok, niż brak wdzięku.



Ziuta jest czarująca, ale...



mówi bezustanku i zupełnie nie słucha tego, co mówi ktoś inny. Panie domu nie lubią więc jej zapraszać, w towarzystwie też nie jest lubiana, mężczyźni unikają jej. Nawet najpiękniejsza kobieta traci wiele, jeżeli nie potrafi poskromić gadatliwości. Wszyscy myśliciele podkreślają, że większą sztuką jest słuchać i milczeć niż mówić. Milczenie jest złotem, gdy mowa jest tylko srebrem i o tem Ziuta powinna pamiętać, jeżeli chce być mile widzianą przez wszystkich, lubianą i jeżeli chce, by jej wdzięk nie był stale przekreślany przez nieznośne przyzwyczajenie. Warto także pamiętać tu o słowach poety, który wzdychał: jakże trudno jednak o kobietę, z którą można milczeć....



Stefa jest czarująca, ale...



gdy zbudzi się w złym humorze, narzeka i zrzędzi, krytykuje wszystko, nic się jej nie podoba, nic jej nie bawi i nie ma nawet ochoty, ażeby się porządnie ubrać i uczesać. W taki dzień — a niestety przy jej usposobieniu podobnych dni jest bardzo dużo — wygląda brzydko, zaniedbanie, nic więc dziwnego, że stronią od niej i nikt niema ochqty wysłuchiwać jej złego humoru. A przecież właśnie w dniu, gdy pani ma nawet uzasadnienie do złego humoru, należy tuszować ten stan przed oczyma osób trzecich, bo świat nie lubi cudzych goryczy i nie zważa wcale na to, czy i jak są one uzasadnione. Pani Stefie należy przypomnieć hasło, zdobywające świat, mianowicie „keep smiling".



Basia jest czarująca, ale...



Jest hipochondryczką i wydaje się jej, że choruje na różne choroby, a przedewszystkiem na takie, które w danym okresie są modne. Straciła wszystkich przyjaciół przez to, że nikt niema ochoty wysłuchiwać jej jeremjad i opowiadań o wizytach u lekarza, o stosowaniu takiej czy innej kuracji... Nawet istotnie gnębiącą chorobę należy ukrywać, o ile to jest możliwe, bo powodzenie należy do zdrowych. A cóż dopiero choroby urojone! Ileż osób naraża się na śmieszność i jest tematem drwin i wykpiwania tylko dlatego, że każdą rozmowę zaczynają od opowiadania o swych dolegliwościach. Wszystkie słabości powinny być tajemnicą prywatnego mieszkania, a nie produktami „na wynos"!



...jest czarująca, ale...

zbyt kokieteryjna. Uważa, że każdy mężczyzna jest gotową ofiarą, że wystarczy spojrzeć na niego, uśmiechnąć się i już ma się w nim zakochanego po uszy niewolnika. W rezultacie nie ma przyjaciółek, bo kobiety nie lubią słuchać ani też być świadkami podobnych konkiet, w dodatku przeważnie urojonych, nie ma też przyjaciół, bo nie rozumie psychiki mężczyzny i uważając każdego mężczyznę już z góry za swą ofiarę, obraża w ten sposób poczucie męskiej godności. Mężczyźni zaś, którzy lubią być zdobywani i którzy ulegają bezkrytycznie spojrzeniu czy banalnemu u-





śmiechowi przypadkowo poznanej lub nawet nieznajomej, nie należą do wartościowych i stoją bardzo daleko od ideału mężczyzny. O tem Sława koniecznie musi pamiętać.

Oto kilka przykładów najczęściej spotykanych wad i śmiesznostek kobiecych. Jeżeli jakaś pani chce osiągnąć doskonałość, to przedewszystkiem musi zwalczać w sobie te i podobne „ale"...

Scott.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

KROKIETKI Z KALAFJORA. Ugotowany w słonej wodzie i drobno posiekany kalafjor miesza się z trzema żółtkami, 10 dkg mielonej szynki, łyżką kwaśnej śmietany, pianą z 2 białek, 2 łyżkami parmezanu, tyluż łyżkami tartej bułki i troszką pieprzu. Z masy tej formuje się małe krokietki, które się osmaża pływające w tłuszczu z obu stron i wydaje obłożone młodemi ziemniaczkami.

ZUPA Z ZIELONEGO GROSZKU. 25 dkg groszku w strączkach wyłuskuje się; strączki dobrze wypłukane gotuje się z troszką kopru i zielonej cebulki oraz kawałkiem cielęcej kości na rosół. Wyłuskany groszek dusi się z troszką masła i łyżeczką cukru osobno. Zasmażkę z łyżki masła i mąki rozprowadza się osolonym rosołem, dodaje uduszonego groszku i zagotuje na tej zupie garść płatków lub lane ciasto.

PRZYSTAWKA Z JAJ. 3 dkg suszonych grzybków, dobrze wymytych, gotuje się w niedużej ilości wody. Ugotowane wyjmuje się z smaku, przemiela i dzieli na dwie połowy. 6 jaj ugotowanych na twardo obłupuje się, przekrawa wzdłuż i wyjmuje żółtka, które się uciera z łyżką deserowego masła, jedną połową grzybków zmielonych i łyżką parmezanu. Masą tą napełnia się białka jaj i układa je na ogniotrwałej misce. Smak z grzybów (smaku ma być 4 łyżki) miesza się z drugą połową grzybów, łyżką kwaśnej śmietany i łyżeczką mąki i sosem tym polewa się jaja następnie posypuje się potrawę łyżką tartej bułki i parmezanem, kropi masłem i zapieka przez 10 minut w gorącym piecyku. W miejsce suszonych użyć można grzybów świeżych.

MOSTEK CIELĘCY PANIEROWANY. Z kilogramowego kawałka grubego mostku cielęcego wyjmuje się żeberka i gotuje w rosole jak sztukę mięsa z jarzynami i solą. Ugotowany mostek, tj. kiedy się da łatwo przebić w najgrubszem miejscu cienkim trzonkiem łyżki drewnianej (to jest najlepszy sposób próbowania miękkości każdej pieczeni), wyjmuje się go z wody i ostudza. Rosołu użyć można z dodatkiem kostki bulionowej po zasypaniu kaszką lub ciastem, jako zwykłego rosołu, lub na zupę z dodatkiem zasmażki, ryżu i paru krążków cytryny. Ostudzony **zupełnie** mostek kraje się poprzecznie w plastry, osypuje mąką, macza w rozkłuconem jajku, następnie w tartej bułeczce i smaży szybko z obu stron na rozpalonym tłuszczu na rumiano. Usmażone kawałki układa się wzdłuż półmiska i garniruje różnemi słodkiemi jarzynkami, np. marchewką, groszkiem, kalarepką. Osobno sałata zielona lub mizerja.

PSTRĄGI W AUSZPIKU. Małe pstrągi ugotowane na niebiesko (sposób gotowania podawany był w nr. 20 „Asa") ostudza się zupełnie, następnie wyjmuje z rosołu, który należy oczyścić białkiem i przecedzić, poczem rozpuszcza się w nim 3 dkg żelatyny, (licząc na 2 litry rosołu). Zastygającym tym auszpikiem, który należy poprzednio skontrolować, czy dość słony i kwaśny, wylewa się podłużną, wysoką formę. Po zastygnięciu nalewa się znów auszpiku i układa pstrągi, przesypując je siekanym auszpikiem i gałązkami pietruszki. Rybki powinny tak wyglądać jak gdyby pływały, więc nie należy auszpiku żałować, aby ryby jedna drugiej nie dotykała. Na samym końcu układa się reszki uszkodzonych ryb i wylewa resztę auszpiku. Po zastudzeniu na lodzie wyrzuca się auszpik na płytę szklaną lub porcelanową i ubiera kolorowanym siekanym auszpikiem.

OMLET Z POZIOMKAMI. 4 żółtka uciera się z 4 łyżkami cukru, dodaje łyżkę rumu, pianę z 4 białek i 2 łyżki sypkiej mąki. Z masy tej smaży się dwa omlety; kiedy się z wierzchu zaczynają ścinać, posypuje się je ocukrzonemi poziomkami, dopieka szybko, zwija i podaje polane sokiem poziomkowym.

KRUCHE BABECZKI Z POZIOMKAMI. Z 10 dkg masła, 5 dkg cukru i 15 dkg mąki oraz łyżki kwaśnej śmietany zagniata się szybko ciasto, które się na godzinę odkłada w zimne miejsce. Cienko wywałkowanem ciastem wykłada się babeczkowe foremki, wysypane mąką. Palcami wgniata się ciasto w zagłębienia foremek, a spód nacina się nożem w krzyż, aby para uszła i ciasto się nie wzdęło. Foremki ustawia się na blaszce, wysypanej grubo piaskiem (inaczej blaszka się przepali) i piecze na rumiano. Po upieczeniu wyrzuca się ciastka z foremek na sito, aby się nie pokruszyły. **Tuż przed podaniem** napełnia się babeczki bitą śmietaną, zmieszaną z cukrem i poziomkami lub kremem, ubitym na parze z szklanki mleka, 2 żółtek, łyżeczki mondaminu lub innej mączki do zagęszczenia oraz cukru do smaku. Ostudzony gęsty krem daje się do połowy babeczki, resztę wypełnia się ocukrzonemi poziomkami. Krem agrestowy i każdy inny nadaje się do napełniania babeczek, które upieczone dadzą się przez dłuższy czas przechowywać tak, że każdej chwili możemy mieć dobrą legominę pod ręką.

KRUSZON OWOCOWY. Pół litra wina, szklankę wody i 20 dkg cukru zagotowuje się, odsuwa z ognia i wsypuje pół l. poziomek, truskawek lub malin. Po zastudzeniu przecedza się wino przez płótno i podaje się w boli lub kieliszkach.

Sc. Ko.

PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI W GOSPODARSTWIE DOMOWEM



Przesadzając kwiaty doniczkowe, trzeba pamiętać o dobrym drenażu na dnie wazonika, aby woda nie zakwaszała ziemi i znajdowała dobry odpływ przez otwór w dnie doniczki. Chroni się w ten sposób rośliny przed gniciem korzeni, które może nastąpić, gdy woda gromadzi się w dalszych warstwach ziemi.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 29 — **Lipiec** — 31 dni



NIEDZIELA 10 Amalii
Zupa cytrynowa z ryżem. Jaja w grzybkach zapiekane. Młoda gąska z duszoną kapustą. Kruche babeczki z pianką poziomkową.
Kolacja: Zimny drób z mizerją.

PONIEDZ. 11 Olgi, Pelagii
Zupa z zielonego groszku z płatkami. Kalarepka faszerowana. Mostek cielęcy panierowany. Sałatka owocowa z keksami.
Kolacja: Grzybki w śmietanie.

WTOREK 12 Jana Gwalb.
Chłodnik owocowy z grzankami. Rizotto z resztkami pieczeni lub z szynką. Nereczki cielęce z makaronem. Krem agrestowy z waflami.
Kolacja: Pierożki z borówkami.

ŚRODA 13 Małgorzaty p.
Zupa z świeżych grzybków. Krokietki z kalafiora. Kurczę w potrawce z kluseczkami. Suflet z wiśniami.
Kolacja: Ziemniaczki lub kasza z kefirem.

CZWARTEK 14 Bonawentury
Zupa ogórkowa na rosole. Hachée z mięsa rosołowego. Kaczka pieczona z młodą kapustą lub mizerją. Poziomki z śmietaną.
Kolacja: Kalafior z masłem.

PIĄTEK 15 Henryka
Barszczyk zabielany z jajem. Leniwe pierogi. Biała ryba w sosie koprowym z ziemniaczkami. Parzone knedelki z wiśniami.
Kolacja: Pstrągi w auszpiku.



SOBOTA 16 NPM. Szkapl.
Rosół z grzybkiem. Sztuka mięsa z głąbikowym sosem. Nerkówka z ryżem. Marchewka. Omlety z serem.
Kolacja: Bukiet jarzynowy.

HOCKI-KLOCKI

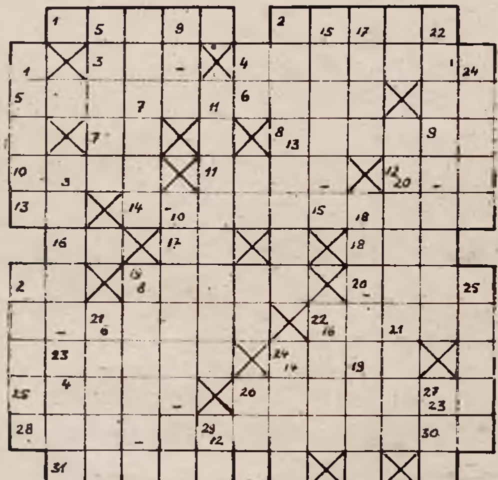
Rozwiązania Nru z 27-go.

Totalizator. Wynik meczu brzmiał 6:5. Zwycięzca wygrał 11 stawek, więc uczestników było 12. Wyniki I zwycięzcy przy 7 bramkach: 4:3, 5:2, 6:1, 7:0. II: 3:2, 4:1, 5:0. Możliwych kombinacyj 12, lecz tylko zestawienia 4:3 i 3:2, 4:3 i 4:1, 4:3 i 5:0, 5:2 i 4:1, 5:2 i 5:0, 6:1 i 5:0 dawały zwycięstwo I.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

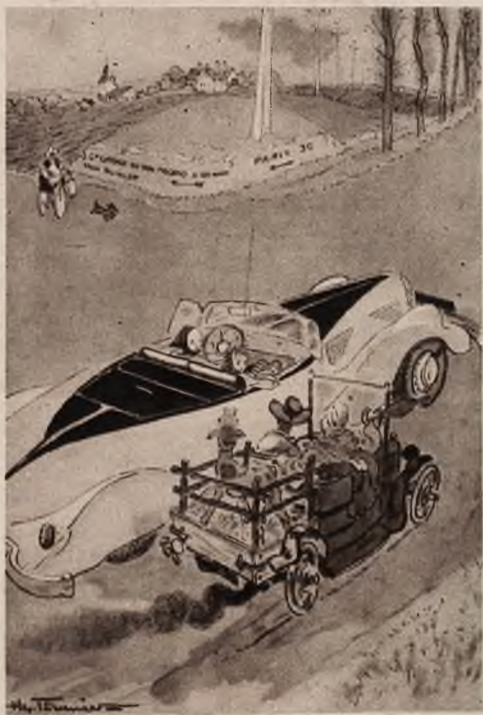
KRZYŻYKÓWKA (nieregularna).

(Kreseczki oznaczają koniec wyrazu).



Znaczenie słów: **poziomo** 1: ptak domowy, 2: wąż (wspak), 3: ptaszek, 4: zwierz drapieżny, 5: przeciwieństwo napadu, 6: inna forma czasownika spać, 7: zaimek, 8: jest w porcie, 9: zaimek, 10: postać z Mitologji, 11: pora dnia, 12: zwierzę domowe, 13: miara, 14: prowincja w Indjach, 15: imię żeńskie wspak, 16: karta, 17: przyimek, 18: miejsce w obcym języku, 19: przyrząd do mierzenia, 20: piękny młodzian, 21: imię polskie, 22: roślina z Indyj, 23: państwo w Europie, 24: bieg wody, 25: ten co lubi, 26: efekt światła słonecznego, 27: zaimek, rodzaj nijaki, 28: rzeka we Francji, 29: dzikie zwierzę, ssak, żyje w Polsce, 30: zaimek, 31: postać z Mitologji (kobieca).

Pionowo: 1: ssak australijski, 2: nocny owad, 3: muza, 4: siła, 5: bywa zwykle obok każdej willi, 6: wąwóz w Afryce, 7: bardzo rozpowszechniony rząd zwierząt (l. poj.), 8: przyjemna jazda końmi, 9: robią sobie niektóre 7 na mieszkanie, 10: materjał na płyty gramofonowe, 11: ogromny wąż, 12: fon. głos zwierzęcia domowego, 13: choć mała, lecz boli, 14: mieszkają tam zwierzęta lądowe, 15: samiec, 16: stan notowania na giełdzie, 17: choroba, 18: przewoził zwierzęta, 19: ruch, po którym coś leci, 20: jeleń w obcym języku, 21: gatunek kręgowca, 22: figiel, 23: głos ptaka samca, 24: zwierzę podobne do konia, żyje w Kongu Belgijskiem, 25: forma czekoladki.



— Hop! hop!, którędy droga do Monte Carlo?....

— My właśnie tam jedziemy, proszę jechać za nami...

„Sourire"

WĘDRÓWKA ŚLIMAKA.

Ślimak znajdował się u stóp muru, wysokiego na 2,5 metra. Chcąc przedostać się na drugą stronę, zaczął wspinać się w górę, lecz gdy przez jeden dzień posunął się o 1 metr, to przez noc (12 godz.) opadał o 30 cm. Kiedy znalazł się na szczycie, a kiedy na ziemi po drugiej stronie, jeśli „wystartował" w poniedziałek o 6 rano?

ŚMIESZNY POMYSŁ STASIA.

Staś jest bardzo zabawnym chłopcem, który ma wiele komicznych pomysłów. I tak, raz miał iść do kolegi, kóry mieszkał od niego w odległości 3 km. Staś postanowił przejść pierwszy kilometr drogi równym, marszowym krokiem, drugi kilometr przebiec, a trzeci przejechać na rowerze. Chłopiec biegł dwa razy szybciej niż chodził, a jechał $1\frac{1}{2}$ raza szybciej, niż biegł. Gdyby przejechał na rowerze całe 3 km. przyszedłby do kolegi wcześniej o całe 10 minut. Ile Stasiowi zajął spacer do kolegi?

Dokończenie ze str. 15-tej.

nemi motylami. Żadna nie umiała po angielsku, a ja znów za mało po japońsku, by rozmawiać, więc stały wkoło mnie, trącały się łokciami, śmiały się z byle czego, zasłaniając przytem dłonią usta, jak to jest w ich zwyczaju. Oglądałyśmy wzajemnie swoje stroje, one mój europejski, a ja ich kimona, i fryzury — pokazywały mi przytem różne szczególiki swojej garderoby, które chwaliłam ku ich wielkiej radości. Gong dał znać, że pauza się skończyła, więc gejsze pięknie się kłaniając wpół, porozbiegały się ze słowami: sayonara gozaimas, arigato gozaimas (dowidzenia, dziękujemy). Rąk w Japonji nie podaje się ani na przywitanie, ani na pożegnanie, wystarcza ukłon.

Po skończonem przedstawieniu jedzie się do domu. Tokio, chociaż 5-miljonowe miastoolbrzym, rzęsiście oświetlone, przezygzakowane rażącemi neonami reklam, rysującemi na tle nocy całe gmachy kolorowe z wieżami i młynami, siejącemi światła, zasypia snem spokojnego mieszczucha o godz. 10. w. Światła gasną, ruch zanika — Tokio śpi.

Janina Lubańska.

Dokończenie ze str. 18-tej.

pola wszystkie trzy strzały i oznaczam je liczbą 1, bo należą do pierwszej salwy. Pan, słysząc oznaczenie moich strzałów, wpisuje je na swojej pierwszej tabelce, na której ustawiona jest pana flota (czarna), przyczem podaje mi pan, że któryś z moich strzałów był celny i jakie jednostki z pana floty trafił. a więc w naszej grze jeden z pana pancerników i jeden z torpedowców. Ja zkolei wpisuję ten pana meldunek na umieszczonych pod mojemi tabelkami jednostkach pana floty, aby uzyskać orjentację do dalszej gry. Chodzi w niej bowiem o to, aby z pomocą strzałów wybadać położenie jednostek pana floty i potem celnemi strzałami je zatopić. Kto pierwszy zatopi flotę przeciwnika, ten wygrywa.

— Teraz zkolei pan oddaje swą pierwszą salwę i podaje mi swe strzały, które padają na pola: B:7, F:2, H:5. Wpisuje je pan na swej drugiej tabelce (orjentacyjnej) rys. IV, a ja znowu na mojej pierwszej (rys. I.) i relacjonuję, że dwa strzały pana były niecelne, trzeci zaś, nie oznaczając który, ugodził jeden z moich pancerników. Tę wiadomość uwidacznia pan pod swemi tabelkami, wpisując cyfrę 1 na jednym z pancerników mej floty (patrz rys. IV). Następuje zkolei druga salwa. Pragnąc wybadać położenie jednego z trafionych przezemnie pancerników floty czarnej, przyjmuję, że strzał z mej pierwszej salwy, który padł na pole A:7, był celny i oddając drugą salwę zaczynam ostrzeliwać sąsiedztwo tego pola, a więc pole B:7. Następne dwa strzały skierowuję już na inne pola, szukając dalszych ofiar. Tę salwę wpisuję podobnie, jak za pierwszym razem, tylko, że teraz liczbą 2 (rys. I). Tą samą liczbą wpisuje ją pan na swojej pierwszej tabelce (rys. IV), podając mi wynik strzałów. W ten sposób dowiaduję się, że moje przypuszczenie okazało się błędnem, ponieważ podaje mi pan, iż w drugiej salwie ugodziłem tylko jeden z pana torpedowców i to po raz pierwszy. Pancernik, trafiony w pierwszej salwie pozostał więc ukryty. Dopiero trzecia moja salwa, w której pierwszy strzał posłałem na pole A:8, pozwoliła mi na oznaczenie kierunku jego położenia. Odpowiedź pana, że w tej salwie ugodziłem jeden z pancerników floty czarnej po raz drugi, wystarczy, by upewnić się, iż chodzi tu o jednostkę, ustawioną na polach: A:7, A:8 i A:9, lub A:6, A:7 i A:8 (patrz rys. IV). Salwa czwarta rozstrzyga już o zatopieniu tej jednostki floty czarnej.

— Ustalenie położenia jednego z okręcików ułatwia ogromnie grę, ponieważ wówczas można już wyeliminować z gry sąsiadującego z tą jednostką pola, na których w myśl reguły o ustawieniu okręcików nie może się znajdować inna jednostka floty przeciwnika. Te pola przekreślamy znakiem X i na nie więcej nie strzelamy. Gra toczy się aż do momentu, w którym jeden z przeciwników nie potrzebuje do całkowitego zatopienia floty nieprzyjacielskiej więcej strzałów, niż np. dwa, lub nawet jeden. Wówczas ma on prawo wyznaczenia przeciwnikowi tej samej liczby strzałów, a jeśli się pomyli w obliczeniu i nie zwycięży podaną ilością strzałów, natenczas partner oddaje wyznaczone dwa strzały, otrzymuje zaraz ich wynik i potem oddaje dodatkowo jeszcze jeden strzał, którego wynik podaje mu się osobno. Jest to więc kara za pomyłkę przeciwnika.

— Gra kończy się, jak wspomniałem, zatopieniem jednej z flot. Obliczenie wygranej można przeprowadzić w ten sposób, że się poprostu zlicza punkty, a te przypadają na niezatopione jednostki floty wygrywającego, przyczem pancernik nieugodzony liczy się jako 6 punktów, raz ugodzony 4 punkty, dwa razy trafiony 2 punkty — torpedowiec nieugodzony 5 punktów, zaś raz trafiony 3 punkty.

RODNEY.

O tak! – to warto

przeczytać... zobaczyć... usłyszeć...



NOWE KSIĄŻKI.

Nora Odlanicka: „Uwiedzione źródła". Poznań, „Prom". Debjut **Nory Odlanickiej**, jednego z czołowych reprezentantów poznańskiego Klubu Poetów **„Prom"**, zawarł w pięknie wydanym, ale szczupłym tomiku p. t. **„Uwiedzione źródła"**, zaledwie kilkanaście wierszy. Jakże jednak wiersze te są wymowne, a maleńka ta książeczka pełna poetyckiej treści! Są to utwory pisane z subtelną pasją. Pulsuje w nich krew — często zresztą przyzywana w wielu z tych wierszy — krew spieniona młodością, zatruta radością i troską życia, widzianego młodemi oczyma. Odlanicka wypowiada się słowami pełnemi namiętności, żywiołu, jakim jest jej dojrzewająca kobiecość. Ażeby wypowiedzieć się całą pełnią, nie waha się nawet przed śmiałą, wysoce udałą próbą, pełną piękna w formie i wyrazie — w wierszu „Paw". Jest to chyba pierwszy — w literaturze polskiej napewno pierwszy — wiersz kobiety, oddający nastrój w dniach miesięcznej słabości. Wiersze Odlanickiej przelewają się od bogactwa porównań i nieprzeciętnych zwrotów. Stanowią czystą poezję, wolną od sztucznych, a tak modnych naleciałości — są dokumentem szlachetnej liryki, najtrudniejszej i najistotniejszej z wszystkich rodzajów poezji. Utwory Odlanickiej — poza wszelką inną wartością — posiadają jeszcze jedną: są uwodząco i niepokojąco kobiece. Ich lektura oszałamia. Nie mamy tu miejsca, by dać kilka chociaż cytatów — wybieramy tylko jeden dwuzwrotkowy wiersz z pośród najbardziej charakterystycznych dla twórczości młodej poetki poznańskiej pt. „Air printanier":

„Chodzimy niedomknięci, kapiąc
marzeniem wokoło;
zbryzgane snem widoki rosną w poezji kraj,
po szorstkich murach usta różami
pną się do okien,
serca na kaktus nakłute, krwią
podlewają maj.
Wyłuskaj, Józefie czy Klaro,
piękność z wełnianych głębi,
Otwórz okienko, Anno, i włosy
rozczesz na wiatr,
różowym dziobem piersi obudź
drzemiące gołębie,
niech frunął błyszcząc pod słońce
białą nietkniętych kart."

W. Z.

„Ostatnia przystań" Maxence van der Meersch. (Warsz. Wyd. Współczesne). Autor francuski ukazuje walkę wewnętrzną jednostki współczesnej, wychowanej w kulcie dla nauki, doświadczenia, w kręgu racjonalistycznych poglądów na życie, w odcięciu od świata wiary. Szymon Bramberger, bohater powieści, stopniowo widzi, że z pod jego stóp usuwa się grunt, że staje się on coraz bardziej samotny.

Mimo, że Szymonowi dobrze powodziło się w dotychczasowej karjerze, mimo, że zdobył korzystne stanowisko, — z chwilą, gdy uderzają weń nieszczęścia — zaczyna zapadać się coraz głębiej w wewnętrznem rozbiciu..

Najpierw umiera mu syn w tragicznych okolicznościach. Nie był on szczęśliwy w pożyciu małżeńskiem, a w dodatku nieubłagana choroba zniszczyła jego organizm. I on nie widzi przed sobą jakiegoś wyższego celu, trwalszego sensu istnienia. Zejdzie ze świata, pozostawiając rodziców w strasznej rozterce duchowej. Matka znajdzie pokrzepienie w wierze, ale ojciec będzie czuł się coraz bardziej wykolejony i rozbity.

„Z dnia na dzień zapadał coraz głębiej w jakąś otchłań bez dna, w przepaść rozpaczy i cierpienia — czytamy w „Ostatniej przystani". — Czuł to wyraźnie i nie widział wyjścia z sytuacji". — Niebawem otrzyma jeszcze jeden cios: umrze mu żona po ciężkiej chorobie. A przecież jej śmierć będzie opromieniona wiarą: „Franciszka była rzeczywiście szczęśliwa, szczęściem w pojęciu odwrotnem, szczęściem wyrzeczenia i poddania się w pokorze cierpieniu — lecz wbrew wszystkiemu — szczęściem zupełnie prawdziwem".

Teraz Szymon pozostał sam. Patrzy on teraz bez entuzjazmu na to, co dotychczas uznawał za porywające zdobycze epoki: „Cywilizacja, postęp, szybkość... To jest w gruncie rzeczy tak niewiele! To stanowczo za mało, by dać człowiekowi prawdziwą radość!". — W tych słowach brzmi nuta bolesnego rozczarowania, cierpkiego doświadczenia.

Gdzież jednak skłonić głowę, gdzie znaleźć spokój wewnętrzny? Racjonalista Szymon, uznający tylko przesłanki rozumu, jest zbyt dumny, aby odrazu skapitulować. A jednak życie duchowe, promienie wiary, bijące niejako z osobowości ludzi religijnych, popycha go do szukania spokoju tam, gdzie widnieje napis: „Jam jest prawda i żywot".

Szymon znajdzie wkońcu „ostatnią przystań", dającą trwałe schronienie przed wszelkiem złem i upadkiem. Stanie on w kaplicy zakonnej z westchnieniem: „O spłyń na mnie Światło!"... — Ten finał jest bardzo wymowny dla intencyj autora, który przeprowadziwszy swego bohatera przez perypetje życia współczesnego — każe mu szukać światła w wierze.

J.

NA SCENIE.

WARSZAWA. W Teatrze Nowym wystawiono komedję Romana Niewiarowicza p. t.: **„Kochanek — to ja!".** Jest to rzecz bezpretensjonalna, obfitująca w zabawne pomysły komedjowe. W rolach głównych wystąpili pp. Lindorfówna, Białoszczyński i Wesołowski.

KRAKÓW. W teatrze im. Słowackiego ujrzeliśmy komedję L. E. Huxleya **„Wiosenne porządki"**, która była już grana na innych scenach polskich. Wykonawcy zasłużyli na uznanie. Trzeba wymienić pp.: Alicję Matusiakównę (Betty), Zygmunta Modzelewskiego (Bob), Włodzimierza Macherskiego (Sir Henryk Patton), Wandę Niedziałkowską (Vivian Rove), Kazimierza Opalińskiego (Lord), Romana Wrońskiego (Brooks), Kazimierza Fabisiaka (komisarz), Zofję Więcławównę (Wingfield), Wacława Kolwasa (Crack) i Apolinarego Possarta (Tommy). Dekoracje projektował p. Karol Gajewski. Reżyserował p. Wacław Radulski.

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA.

Niedziela, 10 lipca.

12.03 Poranek muzyczny z Wilna.
18.00 Podwieczorek z Bydgoszczy.
20.05 Jan Brahms: podwójny Koncert a-moll op. 102.
21.00 Kukułka Wileńska pt. „Dziwna przygoda".
21.40 Transmisja Międzypaństwowego Meczu Lekkoatl. Polska—Niemcy.
22.10 Reportaż operowy „Cyrulik Sewilski".

Poniedziałek, 11 lipca.

16.00 Kwintet Salonowy Stefana Rachonia.
17.00 Muzyka taneczna w wykonaniu Małej Orkiestry.
19.00 „Pieśni dziewczęce" — Brahmsa.
21.10 Transmisja z Budapesztu muzyki węgierskiej.
22.00 „Pięć wieków dawnej muzyki" — audycja VI.

Wtorek, 12 lipca.

16.00 Recital śpiewaczy — Lucyny Szczepańskiej.
18.10 Koncert solistów.
19.00 Chór męski „Echo".
19.30 „Radca Stroń na dancingu" — koncert rozrywkowy.
22.00 Koncert Orkiestry Rozgłośni Wileńskiej.

Środa, 13 lipca.

16.00 Muzyka lekka w wykonaniu Małej Orkiestry P. R.
18.10 Orkiestra smyczkowa Związku Muzyków Chrześcijan.
18.45 „14 lipca" — kwadrans poezji francuskiej.
19.30 Koncert rozrywkowy.
21.10 Koncert chopinowski; transmisja do Londynu.

Czwartek, 14 lipca.

16.00: Orkiestra rozrywkowa z Łodzi.
18.10 „Kościuszko w Łazienkach", premjera słuchowiska St. Wasylewskiego.
18.45 Fragmenty z dramatów muzycznych Wagnera.
19.30 Lekka muzyka francuska — w przerwie „Cabaret artistique".
21.10 „Lehar — Kalman" — potpouri operetkowe.
22.00 Muzyka francuska z okazji francuskiego święta narodowego.

Piątek, 15 lipca.

16.45 Sąd pod turniami" — felj.
18.00 Tajemnicze promienie — wygłosi dr Jodko Narkiewicz.
19.00 Utwory wiolonczelowe w wykonaniu Tad. Kowalskiego.
19.30 „Kocha nie kocha" — koncert rozrywkowy z Krakowa.
21.10 „Ostatni piosenkarz Lwowa — Ludw. Ludwikowski".
22.00 Muzyka kameralna od Haydna do Ravela. — Aud. III.

Sobota, 16 lipca.

16.00 Koncert muzyki lekkiej.
18.10 Recital fortepianowy Berkwicówny.
19.00 Arje i pieśni w wyk. Ireny Gadejskiej-Zelechowskiej.
19.30 „Po szklaneczce do piosenczki" — audycja wokalna.
21.10 Polska Kapela Ludowa.
22.00 Godzina niespodzianek (z Poznania).

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.